

KUŹNICA

Rok V

Łódź, 10 kwietnia 1949 r.

Nr 14 (187)

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

MYŚLI O POKOJU

MAKSYM GORKIJ

„...Współczesne nam narodowe ugrupowania bankierów i fabrykantów broni, oraz inne typy pasożytów przygotowują się do nowej walki o władzę nad Europą, o nieograniczoną swobodę grabieży kolonialnych i grabieży ludu pracującego w ogóle. Ta walka ma na celu wyniszczenie ludów”.

ROMAIN ROLLAND

„...Nasz pokój jest pokojem wolnych narodów, wolnych ludzi wszystkich krajów, którzy muszą się zjednoczyć i którzy zjednoczą się przeciwko wojnie i podżegaczom wojennym, przeciwko faszyzmowi we wszystkich krajach — własnych i obcych — przeciwko wszystkiemu, co zagraża wolności, godności ludzkiej i postępowi. Bowiem wszystko co ludzkie, jest zarazem nasze. I wszystko, co jest wrogiem ludzkości, współdziałającej na zasadach sprawiedliwości i równości, każdy rasizm, wszelkie metody imperialistyczne naszego czy obcego imperializmu — są naszym wrogiem. Nasz pokój istnieje, podobnie jak nasz sposób myślenia, w wymiarze międzynarodowym”.

**Z OŚWIADCZENIA PISARZY
RADZIECKICH**

„Nie ulega żadnej wątpliwości, że przylatująca większość ludzkości jest za pokojem i z całego serca pragnie zagrozić drogę do wojny.

Zaniepokojeni działalnością wrogów pokoju, pisarze radzieccy dołączają swój głos do protestów przeciwko rozpętywaniu nowej wojny, występując w obronie pokoju między narodami całej kuli ziemskiej!

Niezależnie od przynależności narodowej oraz poglądów religijnych i politycznych, zwolennicy pokoju powinni się zjednoczyć i przeciwstawić swą mocną wolę zachowania pokoju.

O pokój między narodami! O kulturę i cywilizację! O demokrację! O pokój na całym świecie”.

ILIA ERENBURG

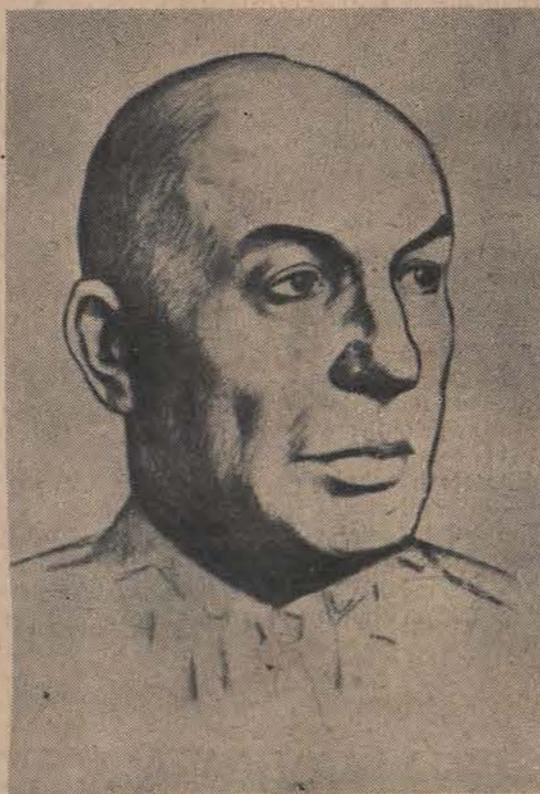
„...Myślę, że jednym z najdonioślejszych zadań postępowej inteligencji jest demaskowanie tych ludzi, którzy przygotowują się do barbarzyńskiej wojny, mówią o obronie „kultury zachodniej”.

ALEKSANDER FADIEJEW

„Ludzie, usiłujący przygotować nową wojnę, powinni pamiętać, że narody nie pozwolą się użyć do nowych awantur wojennych. A jeśli ktokolwiek spróbuje zmusić je do tego przemocą, zostanie ciężko ukarany”.

JULIAN TUWIM

„...Po upiornych latach palenia ludzi w piecach, rozbijania główek niemowląt o ścianę i mordowania bezbronnych — nowa, rzeźka świadomość przejąć musi nas wszystkich, nowy zmysł kierować musi naszymi poczynaniami. Nie wolno nam, ludziom mózgu i serca, trwać w neutralności, która jest wodą na młyn ludzkiej pięści i noża. Wróg jest wyraźny. Niech tak samo wyraźne będą nasze słowa.



General Walter Świerczewski

rys. Andrzej i Jerzy Mierzejewscy

2 lata temu, dn. 28 marca 1947 roku zginął od kul faszystów gen. Karol Walter Świerczewski — bohater walk o wolność Hiszpanii, dowódca II Armii Wojska Polskiego w latach 1944-45, wiceminister Obrony Narodowej w wyzwolonej Polsce.

Urodził się w r. 1896 w warszawskiej rodzinie robotniczej. Jako tokarz metalowiec bierze udział w walkach proletariatu rosyjskiego z caratem. Rok 1936

łączy go ze sprawą wolności ludu hiszpańskiego. W czasie drugiej wojny światowej, na ziemiach wyzwolonych od niemieckiego faszystów prowadzi marsz polskiej armii ku nowym granicom nad Nysą Łużycką.

Padł w walce o demokrację i socjalizm. Lud polski stracił w Karolu Świerczewskim jednego z największych swych bojowników.

wa. Broniąc pokoju — stajemy się w swych wypowiedziach jaśni, otwarci i zdecydowani”.

LEON KRUCZKOWSKI

„...Świadomość niebezpieczeństw, permanentnie grozących kulturze w epoce imperialistycznego zwyrodnienia kapitalizmu, w epoce jego śmiertelnej walki o utrzymanie „świętego prawa wyzysku” — świadomość, ugruntowana dzisiaj i upowszechniona niedawno, jakże straszliwym doświadczeniem, nakazuje im — twórcom kulturalnego dobra narodu — wcześniej mobilizować czujność świata, siły obronne i wolę pokojową ludu”.

PABLO NERUDA

„...Mój lud zwycięży. I jeden po drugim wszystkie ludy zwyciężą.

Cierpienia ukażą się jak chusty, na których ślad został po tylu łzach, wylanych w katorżce na pustyni, nad grobami, na stacjach ludzkiego męczeństwa. Albowiem bliski jest czas zwycięstwa, gdy nienawiść będzie istniała jedynie po to, aby nie zadrżały ręce karzące, aby godzina adeszła o przeznaczoną godzinie, w chwili nieskazanej, i aby lud napelniał wolne ulice nowym i mocnym przyplływem. Temu czasowi służy moja miłość, Znać ją: nie mam innego sztandaru”.

AIME CESAIRE

„...Czy chcecie zabić wojnę? Zabijcie więc wszystko, co dzieli ludzi, nade wszystko zaś obudźcie świadomość

wszelkiej niesprawiedliwości, podniecajcie tę świadomość, podtrzymujcie ją przeciw uciskowi — tam, gdzie się on panoszy, przeciw niewolnictwu — tam, gdzie się ono sroży”.

JÓZEF CHALASIŃSKI

„...Groźba wojny zawiera się w tendencjach do organizowania świata na zasadach regionalnych bloków pod różnymi hasłami separatyzmu kulturalnego, jak hasła „atlantyckiej kultury” lub obrony „zachodniej Europy”. Nie wolno zapominać o tym, że pod hasłem obrony zachodniej Europy hitleryzm wyniszczył całe narody. Nie wolno zapominać o tym, że faszyzm i hitleryzm zaczęły się od hasła obrony Europy przed komunizmem”.

MARCEL PRENANT

„...Narody mogą osiągnąć daleko większe zdobycze niż energia atomowa, ale nie będą mogły niczego osiągnąć w świecie, do którego może doprowadzić wojna”.

JERZY BOREJSZA

„...Nas jest obecnie mrowie, — nas, to znaczy obywateli krajów, gdzie zmiana ustroju społecznego i politycznego umożliwiła źródła wojen, uczyniła walkę o pokój realną i trwałą — w porównaniu z obywatelami krajów, gdzie rządzą zwolennicy nowych wojen lub ich powolni wykonawcy. Drugą wojną światową udowodniła, że walka o pokój przestaje być czczym, bezwartościowym frazesem tylko wtedy, gdy łączy się z walką o postęp. Doświadczeni podstępami drogami hitleryzmu, wiemy już dziś niezbicie, że nie może walczyć o pokój naukowiec czy artysta, którego twórczości nie ożywia wielka wiara w postęp, wiara w wysokie posłannictwo sztuki i nauki, — który nie

Wpisano do kontrolki penouyków
I Miejskiej wypożyczalni książek
dla dorosłych

dn. 10. IV 1949 r.

Teoria marksizmu, oświecona jasnym płomieniem nowego, bogatego doświadczenia rewolucyjnych robotników całego świata, pomogła nam do zrozumienia, że to, co się dzieje, jest zgodne z prawem rozwoju.

Lenin.

TREŚĆ NUMERU:

IGNACY ROBB —

**ŻOŁNIERZ SPRAWY
ROBOTNICZEJ**

ALEKSANDER JACKIEWICZ —

**OPOWIADANIA
POLI GOJAWICZYŃSKIEJ**

ALEKSANDER PUSZKIN —

**PIEŚŃ O WIESZCZYM OLEGU
(przekład Mieczysława Jastruna)**

LEON BUKOWIECKI —

PRAWDA NIE MA GRANIC

MARIAN PODKOWIŃSKI —

ŚREDNIOWIECZE NA KAPITOLE

WITOLD ŁUKASZEWICZ —

**NIEZNANE LISTY MAURycego
MOCHNACKIEGO**

JAN KOTT —

DOBRY DZIKUS I MIESZCZANIE

JERZY KAMIL WEINTRAUB —

JERZY MILLER —

ZBIGNIEW NOWICKI —

WIERSZE

JAN PAPUGA —

KOLA (opowiadanie)

ADAM WAŻYK —

Z TEATRÓW ŁÓDZKICH

STEFAN ŻÓLKIEWSKI —

NOWY SŁOWICZEK
NA PÓLKACH KSIĘGARSKICH
PRZEGLĄD PRASY
KORESPONDENCJA
NOTY

ma optymistycznej odwagi i spokoju, wypływającego z przekonania, że gnije i rozkłada się nie kultura europejska, ale — jej grabarze. Wiemy dzisiaj niezbicie, że nie ma realnej walki o pokój bez codziennej, bezpośredniej każdógodzinnej i każdominutowej łączności z potężnym ruchem robotniczym i jego rządami, tam gdzie on zwycięży”.

JAN DEMBOWSKI

„W dzisiejszej napiętej sytuacji międzynarodowej ponad samolubną, krótkowzroczną polityką różnych ugrupowań wznoszą się narody, które teraz bardziej, niż kiedykolwiek, odczuwają żywiołową potrzebę wystąpienia na rzecz pokoju. Umęczona ludzkość tęskni za wolnością i szczęściem, a tylko pokój powszechny może jej to zapewnić. Ale pokój świata nie jest stanem biernym, wymaga on ustawicznej walki i ustawicznej czujności”.

**Z REZOLUCJI, POWZIĘTEJ NA KONFERENCJI INTELEKTUALISTÓW
W NOWYM JORKU**

„W ostatnich czterech latach przygotowania militarne wytworzyły trującą atmosferę uprzedzeń i hysterii. Tym, którzy uważają wojnę za pożądaną, zależy na tym, by zmusić do milczenia opozycję. W dziedzinie nauki i kultury „zimna wojna” wyrządziła już wiele strat.

Postanowiliśmy użyć całej energii w obronie wolności słowa i sumienia. Wzywamy wszystkich działaczy nauki, sztuki i kultury, by wskazywali drogę, wiedzącą do pokoju. Tylko w ten sposób wykonamy naszą misję.

Uroczystie przyrzekamy, że wszystkie nasze zdolności oraz całą siłę naszych uczuć i rozumu poświęcimy sprawie obrony rzeczywistych interesów narodu amerykańskiego oraz jedności w walce o pokój”.

IGNACY ROBB

Żołnierz sprawy robotniczej

Chciałbym, by słowa te poświęcone generałowi Karolowi Świerczewskiemu, były proste jak prostym był jego żołnierski żywot, jak prostą była jego żołnierska śmierć.

Gdy w pogodny dzień kwietniowy sunął kondukt pogrzebowy przez ulice Warszawy, miasta bohaterów, miasta najwyższych odznaczeń bojowych, można było rzec: miasto bohaterskie, miasto wojennej krwi i pożogi żegna największego bohatera wśród swoich snów.

Ten towarzysz warszawskiej fabryki Gerlach był bohaterem wielu stolic, wielu krajów, stał się bohaterem dwu kontynentów, ale śmierć jego swym kirem żalobnym przede wszystkim spowiła Warszawę.

Nie codzienny urok tego człowieka brał się stąd, że zachował prostotę, że mimo wielkości swoich zasług był i pozostał warszawskim towarzyszem w mundurze generała, człowiekiem walczącym za sprawę tak jak ją rozumiał, prosto i bez efektów — po robociarsku.

Poznaliśmy go w Lublinie na zniszczonym lotnisku „Lotu”, gdzie czerwonoarmieści z obsługi lotnisk zalewali prowizorycznym cementem dziury na długim wybiegu.

Wraz z innymi oficerami wysiadł z samolotu na którym przybył z Moskwy i na tle sowieckiej „Dakoty” wydawał się jeszcze niższy i bardziej otyły — niż zazwyczaj. Pałł, dużo pałł, długoustnikowe pa-

pierosy — oto pierwsze wrażenie. W kłębach dymu twarz poodrana bruzdami. W bruzdach tych widzieliśmy Casa del Campo, Ciudat Uniwersitaria, Jaramę i Gwalalajare.

Wiedzieliśmy, o czym przez wiele lat nie pisano, że ten człowiek, ten bohaterski syn proletariatu Warszawy brał udział w walkach w Hiszpanii, znał miarę zwycięstwa i gorzyc klęski. Od pierwszego wejścia ujął Walter wszystkich swym żołnierskim urokiem, swą prostotą w obejściu, swymi żartobliwymi manierami żołnierskimi, swą pogodą ducha i powagą w podejściu do spraw ważkich.

Niewiele pewnie pamięta moment kiedy, druga armia Wojska Polskiego rodziła się w czterech pokojach w Lublinie na ulicy Krakowskiej.

Narodziny tej Armii, która sforsowała Nysse, zdobyła Budziszyn i Łużyce, w ciężkich bojach maszerując na Drezno i Pragę, były narodzinami dość mizernymi, gdzie pokonywać musiano olbrzymie trudności organizacyjne, ja, we wszystkim co rodziło się w Polsce, gdzie dowódca armii musiał osobiście się kłopotać o krzesła do siedzenia, o spodnie dla swych oficerów, o zorganizowanie stołówek.

I organizując w tych czterech pokojach pracę swych oficerów — General obciążył się nią przede wszystkim był bardziej od siebie wymagającym niż od innych.

Pracowano tu, jak to się mówiło, na dwa fortepiany: między dużym budyn-

kiem, gdzie mieściła się kwatery Naczelnego Dowództwa, a paroma pokojami Sztabu Drugiej Armii na ulicy Krakowskiej.

W nocy, w ciszy prywatnego jego mieszkania rozwiązywano zagadnienia organizacji, rozlokowania i etatów.

Gdy po raz pierwszy odczytał generał Świerczewski projekt etatów Drugiej Armii Odrodzonego Wojska Polskiego, Armii, której siła ognia równała się sile ognia całego wojska polskiego do 1939 roku — u wielu budziło to zastrzeżenia.

Przed wszystkim zagadnienie kadr: — Skąd znajdzie się tylu oficerów?

Świerczewski, zapracowany przemęczonej a mimo to pełen wiary, z miejsca:

— Tak to trudny problem. Ale bić się trzeba. Dowódcy plutonów będą dowodzić baonami, dowódcy baonów z Dywizji Kościuszkowskiej pułkami, jest trochę oficerów z kraju. Wykorzystamy ich. Będziemy ich szkolić. Kurs szkoły oficerskiej winien trwać dwa miesiące. Czy pamiętacie burzującą niemiecką po tamtej wojnie. Oficerów Reichswehry wyszczepiano ze szkół po sześciu tygodniach. Nie umieli czytać map — to prawda. Ale z nich się nie śmiano, bo byli synami burżuazji. My mamy świadomość klasową, wiemy, robotnicy pójdą do szkół. W praktyce frontowej nauczą się czytać mapy. To nasza rewolucja i od nas dostaną gwiazdki oficerskie.

A potem z uśmiechem nieco tajemniczym i nieco figlarnym na przemian:

— Jutro przyjdzie transport samochodowy. Ruszymy z miejsca.

Istotnie — uśmiech jego tkwił nam w pamięci — nazajutrz przyszły dwa „willysy”.

Te dwa „willysy” to również był początek tej armii, w skład której potem wszedł pierwszy Korpus Pancerny.

Każdy zgłaszający się do drugiej Armii oficer, bez względu na stopień i zasługi osobiście przechodził przez pokój dowódcy.

Pomimo nawału pracy, generał Świerczewski z każdym osobiście rozmawiał i wnikał w najbardziej zdawało by się wstydliwe „zakamarki” jego życia. Wszystkich poucał, — „wiedziecie, najważniejsze w tym to człowiek, to kadry, bez tego nie zbudujemy niczego, załamaliśmy się w robocie”.

Po tygodniu pracy wysegregował około dziesięciu dowódców batalionu. I był z tego dumny, jak ze zwycięskiej bitwy, miał z kim zaczynać, wierzył, że Druga Armia stanie się faktem. Dziesięciu dowódców batalionu na setki, których potrzebował.

I tego dnia gen. Świerczewski czuł się bardziej radośnie od każdego innego: Z armią zrodzoną w czterech pokojach w Lublinie, gdy Polska rozciągała się na trzeci wywołonych województwach, przyjdzie mu wojować, przyjdzie bić faszystów.

W półtora roku po 9 maja 1945, po Wielkim Dniu Zwycięstwa przybył z Poznania do Warszawy, przeniesiony ze stanowiska dowódcy Okręgu Wojskowego na stanowisko Wiceministra Obrony Narodowej.

Urządowanie rozpoczął znów swoim zwyczajem od rozmów z ludźmi. Oficerowie i urzędnicy kontraktowi, szoferzy i pracownicy Kwatermistrzostwa — to goście gabinetu generała Świerczewskiego.

I znów jego ulubione powiedzenia:

— Kadry, kadry — to decyduje. Przed XI Sesją Krajowej Rady Narodowej, wezwał kogoś dnia najbliższych swoich pracowników i więcej pałł tego wieczora papierosów, niż zwykle.

Krażył po swym gabinecie małymi, kołyszącymi się krokami i mówił:

— Otóż będzie i plan trzyletni. Zmieni on strukturę kraju. Węgiel — zaciągnął się papierosem — tak węgiel. — I z karteczki czytał cyfry, które dziś są znane każdemu aktywistom robotniczemu w Polsce, cyfry mówiące o planie trzyletnim, o przebudowie kraju, o przyszłości dla narodu zacofanego gospodarczo, narodu okupacji i wojen, zniszczeń i odbudowy — „Węgiel, mój, będzie płynął Odrą do Szczecina, a za węgiel przyjdą maszyny. Odbudujemy kraj.”

Ktoś rzucił żartem:

— Świerczewski o węgiel mówi jak Mine.

A mój wiedzieli, że to co mówił generał Świerczewski to nie są tylko jego prywatne słowa. Były to słowa jego partii, jego narodu, jego klasy rozpoczynającej walkę równie ciężką jak walka z faszyzmem. Jak walka z Hitlerem, walkę o realizację Polski przemysłowej, silnej o zapewnionym byciu narodowym, o innej strukturze niż przed rokiem 1939.

I za taką Polskę przelewał swa krew bohater Madrytu i Nysy, syn warszawskiego proletariatu, człowiek walczący na dwu kontynentach i wśród wielu narodów za sprawę wyzwolenia proletariatu.

Gdy przyjechał z niedoszłego, zakazanego przez policję Trumanowską Kongresu Słowian w Ameryce, mówił:

— Truman chce to lepiej zrobić od Hitlera. Ale Hitler w 1941 roku chciał to lepiej zrobić od Churchilla w 1917 roku... Nie ulega wątpliwości, że rezultaty dla niego mogą być podobne. Zapominają, czy nie rozumieją, że świat ma dosyć dżentelmenów od dolarowych interesów.

Nie był człowiekiem buńczucznych słów i tanich efektów... Przemysłując słowo za słowem rzucił:

— Amerykanie nie łatwo doprowadzą świat do nowych wojen. Ale zaznają tego, co jest najgorsze dla narodu. Sami zaznają goryczy faszyzmu.

Gdy żegnaliśmy go w dzień pogodny, a pochmurny, gdy trumna jego szła przez ulice okaleczalę i odbudowującej się Warszawy, gdy widzieliśmy ludzi trudu i walki, ludzi z nad Manzanares i Wisły, ludzi Lenino i Budziszyna, wtedy zrozumieliśmy, że nie werbel żalobny zostanie wspomnieniem po generale.

Wiemy: węgiel płynie Odra do Szczecina.

ALEKSANDER JACKIEWICZ

OPOWIADANIA POLI GOJAWICZYŃSKIEJ

POWIEŚĆ realistyczna musi dać świadectwo prawdziwie najbardziej istotnej dla rzeczywistości, jaką przedstawia. Ta prawda, która zagłuszała inne elementy, istniejące w świecie opisywanym przez autorkę „Dziewcząt z Nowolipki”, ale dlań nie reprezentacyjne — była niedza proletariatu, bezideowe i właściwie beznadziejne bytowanie drobnego mieszczaństwa, walka człowieka przeciwko człowiekowi o kawałek chleba, o miejsce na ziemi i powietrze do oddychania. Fakty negatywne dominowały w życiu tych warstw, musiały więc dominować w księżkach realisty.

Opowiadania Gojawiczyńskiej^{*)} wyzwały się poniekąd z pod nacisku rzeczywistości. Małe formy literackie, o charakterze poetyckim i impresyjnym, nie są powołane do oddawania całej prawdy o świecie. Ze względu na swój kameralny i liryczny rodzaj, są one bardziej statyczne od powieści, naświetlają tylko wąskie wycinki jakiegoś obszerniejszego tematu, mogą ukazać jego strony wyjątkowe i przemijające — i w ten sposób dopełnić wierną życiu programową twórczość pisarza.

W zbiorze pt. „Dwoje ludzi” do głosu doszły właśnie momenty jasne i optymistyczne. Lecz optymizm ten nie ma nic wspólnego z zamykaniem oczu na prawdę realną, lub z niesprawdalaną utopijnością. Życie jest złe przez jego zafałszowanie, przez jego niewłaściwą strukturę, i znów — nie życie w ogóle, lecz takie, jakie ludzie je sobie i innym zgotowali. W momentach nagłych oświeceń, spoczynku, oderwania się od codzienności, kielkuje w człowieku instynkt szczęścia, wiara, że można żyć przecież lepiej i uczciwiej, rodzi się tęsknota za tym samym a przecież lepszym światem.

W tych małych utworach, właściwie nawet nie w opowiadaniach i nowelach, lecz raczej w obrazkach i szkicach, nieraz bardzo syntetycznych i bardzo po literacku skonstruowanych, zajęła się pisarka prawdami ogólnymi, istniejącymi w każdym czasie, i, jeśli nie w świecie, to w człowieku. Pozwoliła im się rozróżnić, jak w cieplarni, na marginesie swego dzieła.

W tej księżce ujawniły się idealistyczne, jakiegoś bardzo osobiste oblicze autorki, ale również bardzo wyraźnie wystąpiły elementy jej pisarskiego kunsztu, zarte niekiedy w wiekszych literackich formach, i tam skomplikowanie z sobą splecione. Cechy literatury dwudziestolecia stały się w tych miniaturach przejrzyste, bo twórczość Gojawiczyńskiej, tak chłonna na wpływy czasu, reprezentuje tamten okres nie tylko od strony rozpracowywanej tematyki, lecz również od strony nurtów artystycznych.

Zaczniemy od opowiadania „Pod ziemią”, najmniej dla całego zbioru charakterystycznego, zajmującego jakby przeciwny bieg w stosunku do utworów, stanowiących o ciężarze gatunkowym księżki. W tym szkicu problem został przez pisarkę świadomie wyseparowany ze świata realnego, nie tylko przez zatarcie konturów otoczenia i miejsca akcji, lecz także przez oderwanie go od konkretnych postaci. Autorka wprowadza na scenę cienie ludzkie, schematy pojęciowe, zaś intrygę umiejscawia właściwie tylko w pokładach psychicznych zarysowanych osób. Nie

^{*)} Pola Gojawiczyńska: „Dwoje ludzi”, Spółdzielnia Wyd. „Książka”, Warszawa 1948.

mniej jej opowiadanie różni się od wielu podobnych utworów dwudziestolecia. Wprawdzie rozdziela wewnętrzne przeżycia ludzkie na włókna i atomy, to jednak wyprowadza określoną myśl, że niezgodność temperatury uczuć między ludźmi prowadzi do tragicznego konfliktu.

Podobny problem mijania się kobiety i mężczyzny w miłości, szkicuje Gojawiczyńska w noweli pt. „Dwoje ludzi”. Tu jednak miejsce akcji jest już wyraźnie uwidocznione, występują określeni żywi partnerzy. Leśniczy i nauczycielka wiejska przeżywają moment jasnego widzenia swego bytowania pozbawionego uczuć. Mijają się, skazani na dalszą samotność.

Konfrontując przy lekturze te dwa szkice, widzi się, niy w laboratoryjnej wyłęgarni metod pisarskich, przewagę realnego, chociaż nie pozbawionego psychologicznej wnikliwości traktowania tematu, nad metodą czysto psychologiczną. Sprawdzalność dzieła w konkretnym materiale — humanizuje utwór.

W dalszych opowiadaniach autorka nie powraca już do całkowitego stosowania tej drugiej metody. Psycho-biologiczne przeżycia starzejacej się Celine w szkicu pt. „Przed nocą”, są wprowadzone dokładnie zanalizowane od strony wewnętrznych przeżyć kobiety, lecz przeżycia te mają wpływ na określenie jej stosunek do świata. Utwór ten jednak, jak i opowiadanie „Dwoje ludzi”, nie wychodzi poza akt poznania człowieka, akt statyczny. Lecz przyjrzyjmy się szkicowi pt. „Bdny szczeniak”, którego bohaterem jest również starzejacy się, powoli wycofujący się z życia majster stolarski pan Michalczyk. Widzimy go pewnej soboty na spacerze po rodzinnym Podwału. Jest to sobota wyjątkowa, majster wyszedł tego dnia poza swoją codzienność. W tym obrazku pisarka zastosowała metodę opisu postępowania człowieka i monologu wewnętrznego. Konflikt wprawdzie rozgrywa się w psychice bohatera, ale decyduje o jego postępowaniu w wymiarze, na wzajem to, społecznym. Spotkanie przed kinem z nieznanym dotąd małym bratanikiem, skłania starego Michalczyka do spojrzenia wstecz na swoje życie pełne trudu, upokorzeń i gorzocy. „A ten, czy on wie, co go jeszcze czeka?” — myśli majster, patrząc na bratanika. — „Bdny szczeniak, takie chuchro, czy on ma pojęcie?” Dalej pisze autorka: „Starszy Michalczyk, z zaokrągionym brzuskiem, z dewizką zegarka w kieszeni, z sygnetem na palcu, przemierzył cały ogrom życia, podejść, podstępów i wybiegów cynhających na młodszego Michalczyka”. Zaprowadził więc chłopaka do kina i zawarł z nim umowę, że co sobota będą się spotykać w tajemnicy przed resztą rodziny. A po kinie postanowił mu kupić ciastko z kremem, którego sam w dzieciństwie tak bardzo pragnął, „a wtedy go nie dostał”.

Ta wzniesająca scena ma o wiele głębsza, niż to tak prostą nawet konwencjonalną wymowę, niż opowiadania poprzednie. Ukazuje ona moment solidarności międzyludzkiej, pragnienie, istniejące w nas, polepszenia losu tych, co po nas przyjdą.

Jesteśmy w kręgu ludzkich oświeceń. A w szkicu zatytułowanym „Lipa”, referent ministerialny Zarebski ujrzał nagle piękno życia i bezsens swego dotychczasowego bytowania. Utwór ten ma charakter estetyzujący: kobieta, dzięki której referent przeżył wstrząs, występuje tu jako symbol zachyccc-

nia urodą życia, piękno natury streszcza się w obrazie kwitnącej lipy, element mieszczański zaś — w postaci praktycznej i konwencjonalnej małżonki Zarebskiego. Lecz już w szkicu pt. „W rajcu” przyjęcie przez człowieka piękna świata jest uwarunkowane społecznie. Dwoje bezrobotnych, gdy otrzymało pracę, po raz pierwszy odczuło przynajmniej urok morza, w obliczu którego, cierpiąc dotąd nędzę, niczego prócz tej nędzy nie czuło. „I pomyśleć — pisze autorka — że kiedyś ludzie żyli tak, na nagusa, w lasach i nad wodami, nie wiedzieli nic o bezrobociu, ławkach w przystani i miastach, gdzie człowiek nie ma gdzie spać i co jeść”.

Ucieczka do natury we wspomnianych opowiadaniach — jak również w „Powrotach”, gdzie inna para bezrobotnych na wsi szuka oparcia, lecz nawet nie w jej bazie ekonomicznej, lecz w gościnnych lasach i ogrodach — jest motywu idealistycznym, kapitulacją bohaterów utworów i autorki przed zym urażeniem życia. Jednocześnie też ten motyw mówi o pozytywnych stronach w człowieku, o jego pragnieniach lepszego życia, które zabić się nie dają, trwają, i, chociaż tu bezsilnie, rozgrywające się w wymiarach sielaneki, przecież kiedyś mownieją dojdą do głosu, bo są powszechne. Tu leży granica optymizmu Gojawiczyńskiej.

Nowela pt. „Sitarak” decyduje o ciężarze gatunkowym zbioru. Utwór ten posiada silną wymowę społeczną, w jego realistycznych ramach przecinającą się koncepcją idealistyczną, innych utworów omawianej księżki, z konkretnym obrazem przedwojennego życia, szeroko roztoczonym w powieściach Gojawiczyńskiej.

Można znów ten utwór nazwać pesymistycznym, bo w jego tonie kryzysu gospodarczego lat trzydziestych, bezrobocie, niedza proletariatu — uniemożliwiają ludziom, tęskniącym za bardzo skromnym szczęściem, jego realizację. Ale tęsknota ta dominuje w noweli, więc autorka tu po raz pierwszy na przestrzeni całego zbioru — wskazała na zupełnie określone przyczyny zła:

„Maszyny nie po to zostały wynalazone, by zgniebić człowieka, by odebrać mu pracę, ale, by mu tę pracę uczynić lżejszą i przedszą, by nie orał w polu czola jak bydlę, by miał czas być człowiekiem. Czy wszyscy byli przyodzieni, czy wszyscy mieli buty i dach nad głową, czy świat był urządzonej tak, że maszyny nie miały już co robić? czy był nadmiar dostatków? Nie, diabła tam. Sitarak mógł zaświadczyć, iż sam tylko ożenek, garnitur i buty pochłonęły pierwsze jego oszczędności, nie miał już z czym zaczynać, nie mógł sobie życia z Olesią urządzić... Nie, do urzadzania świata było daleko, maszyny zostały wynalazone, aby służyć człowiekowi, ulepszone narzędzia pracy, ale kapitaliści uczynili je narzędziami swych zysków, puścili je wolniutko, wolno, w sam raz, w miarę, by dobra świata mielł ci, co mogli je po odpowiedniej cenie kupić...”

Należy pamiętać, że opowiadania Gojawiczyńskiej zostały napisane w okresie dwudziestolecia, wówczas, gdy pisarze w obliczu istniejącego zła albo uciekali w arkadyjskie ogrody, albo wyrażali swój bunt i walczyli czynnie całym swym dziełem. W zbiorze Gojawiczyńskiej przejawiają się obydwie postawy. I dlatego jest on żywym dokumentem swego czasu.

ALEKSANDER PUSZKIN

Przełożył MIECZYSLAW JASTRUN

PIEŚŃ O WIESZCZYM OLEGU

I oto wybiera się Oleg, książę wieszcy,
Niesie zemstę szaleńczym Chazarom:
Ich wsie pod miecz oddać za najazd grabieżczy
I rzucić na pastwę pożarom.
Już w stal carogrodzką okuty, po błoni
Z drużyną książę jedzie na wiernym swym koniu.

A z lasu ciemnego na jego spotkanie
Wychodzą natchniony wróżbita,
Uznaje jedynie Peruna wezwanie,
Tajemnych wyroków treść czyta.
Na modlach i wróżbach przeminął wiek jego,
I Oleg podjeżdża do starca mądrego.

— „Przepowiedz mi, starcze, co stanie się ze mną,
Wróżbiarzu, kochany przez bogów!
Czy rychło mogiła okryje się ciemną
Na radość sąsiadów mych, wrogów?
Nie lękaj się, powiedz mi prawdę surową,
Jakiego chcesz konia dam tobie za słowo“.

— „Nie boją się władców potężnych wróżbici,
Książęcych im darów nie trzeba;
Wolnością i prawdą ich język się szczyli
I z wola jednoczy się nieba.
Choć przyszłość w mgie mrocznej skrywają niebiosy,
Ja z czoła jasnego już czytam twe losy.“

I dziś zapamiętaj-że słowo to moje:
Śmiałem się sława nagrodą;
Twe imię rozślawia zwycięskie podboje,
Twa tarcza na wrotach Carogrodu;
I woda i ziemia posłuszne są tobie,
A doli tak szczęśliwej zazdrości wrogowie.

I morza zdradliwych fal błękit posepny,
Gdy nimi wyroczny gniew miota,
I kołczan i strzala i kindżał podstępny
Oszczędzą dni twego żywota...
Pod srogim pancernem nie doznasz ty rany,
Bo stróż niewidzialny książęziwi przydany.

A koń twój wyprawy nie boi się znojej;
To stoi pod wrogów strzałami spokojny,
To polem bitewnym ewaluje;
I chłody i stoty są niczym dla niego;
Lecz śmieć ciebie spotka od konia twojego“.

Uśmiechnął się Oleg, lecz wzrok mu i skronie
Zadumy zaćmiły się chmurą.
W milczeniu głębokim na siodle wsparł dlonie,
Zsiadł z konia swojego ponuro,
I druha wiernego tak żegna przejeży,
I głasze i klepie po szyi wygiętej.

— „Więc żegnaj mi, wierny mój druho, i bywaj! —
Rozstanie nam dziś przeznaczone;
Żyj wolny, mój sługo, już noga niczyja
Nie wstąpi w twe strzemię złoczone.
Pamiętaj mnie! Żegnaj! Niech służy ci zdrowie!
Wy konia wywiedźcie giernkowie - druhowie!“

Czapakiem okrycie go, derką wełnistą,
Na łękę prowadźcie go moją,
I sypcie mu ziarno i przednie i czyste,
I pójcie go wodą ze źródła“.

Potęny książę Oleg ucztuje ze switą
Przy brzęku wesolym szkianicy.
Kędziory ich białe jak śnieg w porę switu
Na sławnej kurhanu głowicy...
I każdy z nich lata minione wspomina
I bitwy, gdzie razem walczyła drużyna.

— „A gdzie mój druho? — Oleg te słowa wyrzecz —
Powiedzcie, gdzie koń popędliwy?
Czy zdrów? Czy jak ongi w pogoni wiatr siecze,
Jak ongi ognisty i tkliwy?“
I słyszy odpowiedź: „Na wzgórzu urwistym
Już koń twój przed laty snem zasnął wieczystym“.

Książę głowę zwiesiwszy myśl waży zeliżwą:
„I jakże to wróżba omami?
Ty starcze szalony i z duszą kłamiwą!
Pogardzić by twymi gustami,
Mój koń do tej pory by niósł mnie przez błonia!“
I kości wiernego zobaczyć chce konia.

Więc jedźcie książę Oleg z swym hułcem bojowym,
Z nim Igor i tłum starych gości,
I ujrzy: na wzgórzu na brzegu Dnieprowym
Szlachetne zabiela się kości;
I deszcze je myją, okrywa kurzawa
I w wietrze nad nimi kołysz się trawa.

Książę Oleg na czerep nastąpił w milczeniu
I rzecze: „Spój, druho, na wieki.
Twój stary pan przeżył cię, spój w opuszczeniu...
Na styple mej, już niedalekiej,
Nie ty pod toporem napolsz burzany,
I proch mój nie będzie z krwią twoją zmieszany.“

Ot, gdzie się ma zguba, gdzie śmierć moja chowa!
Mnie grozi ta kość próchniejąca!“
Z czerepu, skradając się, żmija grobowa,
Gdy mówił, wypęzła sycząca...
I wokół nóg wstęgą żalobną się wije,
I nagle książę krzyknął, ukłuty przez żmiję.

Wkrąg idą czerpaki i planą się burzą
Na styple po władczym Olegu;
Książę Igor i Olga usiedli na wzgórzu,
Drużyna ucztuje na brzegu:
I każdy z nich lata minione wspomina
I bitwy, gdzie razem walczyła drużyna.

LEON BUKOWIECKI

PRAWDA NIE MA GRANIC

„Ulica Graniczna“ reżyserii A. Forda

TWÓRCA

REŻYSER Aleksander Ford należy nie od dziś do nielicznej grupy realizatorów odważnych. Przez to określenie rozumiemy nie tyle chęć odkrycia nowych dróg artystycznych kinematografii, ile opracowywanie tematów, odbiegających daleko od normalnej i powszechnie przyjętego szablona.



„Ulica Graniczna“, Władysław Godik (Liberman)

Jego pierwszy znany film „Legion ulicy“, który powstał w początkowym okresie kinematografii dźwiękowej, ukazał oczom polskiego widza zupełnie nieznaną środowisku warszawskich gazetarzy. Film ten po rozmaitych „Tajemnicach przystanku tramwajowego“, „Kultach ciała“ i „Tredowatych“ po raz pierwszy omawiał temat życiowy w przekroju pełnego realizmu. „Legion ulicy“ był niewątpliwie jednym z bardzo nielicznych prekursorów humanistycznej orientacji filmu polskiego. W dalszej swej pracy reżyser Ford natrafiał na rozmaite przykrości, przez które nie mógł osiągnąć (przynajmniej w filmach wyświetlanych) pełni tego, co zamierzał. Toteż bez większego wrażenia przeszedł ciekawy film „Przebudzenie“ i nie ścigał należytej uwagi film „Ludzie Wisły“, film o tych, których życie i praca związane są z karpysami rzeki.

Znacznie większe powodzenie osiągnął Ford za granicą, gdzie mógł wyświetlać film „Droga młodych“, zabroniony przez polską przedwojenną cenzurę. Był to doskonały treściowo i artystycznie reportaż o sanatorium im. Medema dla dzieci za-

grozonych gruźlicą. Innym ciekawym filmem była „Sabra“, reportaż o pionierskich pracach emigrantów żydowskich w Palestynie.

Zdecydowane oblicze społeczne wszystkich filmów Forda, i tych uznawanych, i tych niedopuszczonych do wyświetlenia, sugerowało, że w warunkach sprzyjających swobodnemu rozwojowi sztuki Aleksander Ford wykaże się dziełem najwyższej wartości.

POSTAWA AUTORA

Założenia twórcy „Ulicy Granicznej“ były jasne i z całą jasnością należy je wyłożyć. Autor zdawał sobie sprawę z istniejącego w rozmaitych warstwach narodu polskiego antysemityzmu, widział rozmiary, jakie przybrała ta kleska w czasie wojny, i niewątpliwie nie był ślepy na niedobitki antysemitów blakających się dziś jeszcze wśród masy, która dojrzała do życia.

Kompleks antysemityzmu, który ciążył na społeczeństwie polskim w rozmaitych nateżeniach, powodując scysie między uczniami w szkołach i gimnazjach, ohydne ekscesy na wyższych uczelniach, rugi w sferach urzędniczych — nie był przecież żadną „cechą wrodzoną“ Polaków. Nikt nigdy nie usłyszał ani nie mógł usłyszeć żadnego rzeczowego argumentu przemawiającego na rzecz uprzedzeń rasowych. Syn powtarzał lekcję wyuczoną od ojca czy matki, nie zastanawiając się nigdy nad swym zdaniem nie konfrontując go z rzeczywistością, nie starając się nawet o najmniejszą dozę dobrej woli. Jest zasługą Aleksandra Forda, że w prostych, pełnych prawdy obrazach rozładował kompleks wykazując jego całkowitą nicotę.

IDEA FILMU

Ale myślą przewodnią eposu, której autor dał symboliczną a jednak skromną nazwę „Ulica Graniczna“, nie jest problem antysemityzmu. Nie w potępieniu uczuć nieludzkich, nie w wykazaniu braku podstaw antysemityzmu leży klucz zagadnienia dzieła filmowego. Aleksander Ford jako współczesny, świadomy twórca sztuki filmowej wychodzi z założeń humanistycznego optymizmu. Jego cel to nie potępić, ale pokazywać rzeczy godne naśladowania, tworzyć dobro, podnosić wartość człowieka w oczach własnych i w oczach innych ludzi.

Na Aleksandrze Fordzie, jak na każdym myślącym i głęboko odczuwającym człowieku, tragedia narodu żydowskiego w czasie wojny wywarła obrzmienie wrażenie. Nie można było przejść do porządku dziennego nad milionami ofiar wytrutych, zamęczonych i wymordowanych w nieznanym przez historię warunkach. Są takie groby, które żądają zadośćuczynienia. Obecnie jest tym grobem wszelka zemsta, obce zniechęcanie się, ale ich milczeniu trzeba wystawić tym mocniejsze świadectwo.

Świadectwo takie w najdoskonalszej formie może dać tylko sztuka. Zrozumiał to, oocenił i głęboko przeżył Aleksander Ford. I słusznie zrobił, że wybrał Polskę, wybrał film polski jako hołd dla cierpień milionów. Tutaj mieszkało wielu Żydów, na ziemi polskiej zginęli ich miliony. Kto był w Generalnym Gubernatorstwie w tych latach upadku, widział niekończące się pociągi z zabitymi wagonami, widział stacje kolejowe natłoczone ludźmi, których jedynym przeznaczeniem była śmierć.

Aleksander Ford ze swego stanowiska humanisty wiedział, że nie wolno tej sprawy przemilczeć. Hołd pamięci pomordowanych był tu obowiązkiem. Ford wziął zadanie na swe barki i zwyciężył. Zwyciężył tak wspaniale, że zwycięstwo jego musiało uznać nieprzychylnie dla Polski jury weneckiego Biennale nagradzając film Złotym Medalem. Zwycięstwo uznano publiczność wszędzie tam, gdzie film był już wyświetlany.

BOHATEROWIE

Trudno jest naprawdę stwarzać postaci bohaterów w heroicznym eposie. Każdy z nas, który przeżył wojnę i ogląda obecnie filmy wojenne, mimo woli konfrontuje je z rzeczywistością wojenną i mówi sobie: „nie takie rzeczy widziałem“, lub nawet: „nie takie rzeczy przeżyłem“. Smutne bogactwo naszych doświadczeń przewyższa zawsze to, co najbardziej sumienny scenarzysta i reżyser potrafi ukazać. Nie wszystko można napisać, nie wszystko można wystawić w teatrze, nie wszystko znieść nawet film, ta najbardziej realistyczna ze sztuk.

Toteż Ford świadomie zrezygnował z nadludzi i z wypadków obliczonych na sianie postrachu czy grozy. Sam ogrom nagłej prawdy okupacyjnej jest dostatecznie potworny; nie potrzeba go szpilować dodatkowymi efektami. Nadczołwiek mniej przekonuje w filmie od człowieka. Trzeba tylko dla tego człowieka odnaleźć odpowiednią postawę życiową i wtedy rzekomy bohater filmowy staje się prawdziwym bohaterem mas. To zadanie społeczne osiągnął Ford prostymi środkami, zbyt prostymi, aby je można było łatwo zauważyć. Osiągnął je postawą swych ludzi. To nie są ludzie zrezygnowani, ludzie biernie poddający się losowi, ludzie złamani Hitlerem i jego folksdojczowskimi stugusami w rodzaju Kuśmieraka. To są ludzie akcji, ludzie czynu, ale nie według gotowych szablonów „bohaterów“.

W pierwszych scenach filmu stary Liberma ukazuje się nam jako postać może nawet pocieszna. Dawidek wpada do beczki wywołując salwy śmiechu kolegów-wyrostków, bo „Zydkowi“ się nie powiodło. Słusznie Ford ukazuje rozmaitych Żydów takimi jakimi byli w egzotyce swych strojów i obyczajów, słów i modlitw, sposobu mieszkania i niektórych powiedzeń.

Chodzi o to, aby widz powiedział sobie: „tak to są Żydzi“, aby zainteresował się nimi, aby pomyślał o tym, co mieści się w ślicznej główce Dawidka pod czarną jarmułką.

To zadanie powiodło się Fordowi w zupełności. Reżyser odnalazł wspólny mianownik — człowieka — i zmusił ludzi z widowni do zajęcia się losem ludzi z ekranu. Film jest — poza wszystkimi innymi zaletami — głęboko wzruszający, a cóż warta jest sztuka, która nie przejmując, nie powoduje silnych wrażeń? Jesteśmy wciągnięci w krąg obywateli naszego państwa, do których wielu z nas czuło niechęć, którzy innym byli obojętni. Ford ukazuje nam ich bez obłonek, bez patosu, bez pretensjonalnych komentarzy. Ich czynny przemawiający za siebie, a czynny te są drobniagowo zgodne z prawdą — o czym wszyscy wiemy. Takich, bynajmniej nie „bohaterkich“ w przyjętym słowa tego znaczeniu, przedstawia nam Ford swych najprawdziwszych, najszlachetniejszych bohaterów.

Ale w filmie tym ukazuje nam Ford wielu Polaków. Ci, na każdym kroku, z narażeniem życia pomagają Żydom. W tym wypadku Ford znów nie poszedł po linii najmniejszego oporu. Najłatwiej było przeciw odmalować jedno z tych środowisk polskich, które brzydziło się antysemityzmem przed wojną i szło z pomocą



„Ulica Graniczna“, scena w kanałach warszawskich zrekonstruowanych w Barrandovie

wszystkim gnębionym ludziom w czasie okupacji. Ale wtedy problem filmu zostałby znacznie osłabiony. Przekonanych nie trzeba przekonywać. Dlatego ważniejsza jest postać Wojtana, który dopiero w zestawieniu z rzeczywistością wyzbywa się swych uprzedzeń i odważnie przecho-

dzi na drugą stronę niewidzialnej granicy. Za nim idzie jego syn. Ten przełom świadczy właśnie na rzecz zasadniczego założenia Forda o nikiści korzeni polskiego antysemityzmu. W zestawieniu z życiem antysemityzm ten przestaje natychmiast istnieć, odrzucony jako cecha nie tylko bezwartościowa, ale i wstrętna. Tak zachowali się wszyscy ci Polacy, którzy zrozumieli grozę faszystowskiego ludobójstwa. Prawdziwą, realną pomoc niosą tacy jak doręcznik Cieplickowski i jego syn Broniek. Ich uświadomienie społeczne osiągnęło wyższy stopień. Oni zawsze byli ludźmi i we wszystkich mieszkańcach jednej mieszaną kamienicy widzą od początku ludzi, kolegów, braci, bez żadnych rasistowskich odróżnień.

W myśl tej samej zasady postępują wszyscy ci, którzy wyrabiają i dostarczają granaty do getta, i ci, którzy wspomagają ogniem karabinów maszynowych wspaniały zryw żydowskich bojowców.

FINAL

Wśród coraz bardziej zbiegających się nici dramatu wojennego zbliża się ostatni akt tragedii, potężne fortissimo wielkonoce powstania w 1943 r. Postawa trzech głównych bohaterów nie jest jednakowa. Czy mogła nią być, skoro Liberman dawno przekroczył sześćdziesiątkę, Natan jest mężczyzną w sile wieku, a mały Dawidek jest jeszcze dzieckiem? Nie! Liberman umiera w pływającym getcie mo-

dując się do Boga i na sposób swój nie poddając się. On wie, że to nie koniec walki. Nathan strzela do Niemców do ostatniego naboju. Pada z świadomością, że ostatnie słowo nie zostało jeszcze powiedziane. Przecież powstanie w getcie wybuchło już po Stalingradzie.

Wreszcie Dawidek. Ten jest poza gettem i ma duże szanse pozostania przy życiu. W tym miejscu znajdujemy się o krok od tego, co śmiałybym nazwać „happy endem” dla Dawidka, gdyż byłaby to równocześnie symboliczna śmierć sprawy. Dawidek nie zawodzi zaufania, które narosło w nas w czasie akcji filmu; pogrąża się w mroczną, wilgotną czelustwę kanałów idąc ku walczącemu gettu po śmierć niechybną. Śmierć ta urasta do wagi symbolu. Jest

to walka Dawida z Goliatem, ale to Goliat został powalony wbrew wszelkim zewnętrznym pozorom.

Odchodzący w dal Dawidek patrzy swym kolegom poważnie w oczy. Nie mówi „myślcie o mnie” — ale o nim myślimy. Jego śmierć, śmierć dziecka, łączy się z losem milionów ofiar, dla których uczenia nie starczy ani pomnika ani filmu, nawet tak pięknego jak dzieło Forda.

Prawda szeroka rzeką wlała się do serc tych, którzy dziś jeszcze byli zatwardziałą, prawdą bijącą z każdego metra taśmy tego filmu — „prawda, która nie zna granic”, jak mówi do nas z afisza tytuł francuskiej wersji filmu.

Leon Bukowiecki

MARIAN PODKOWIŃSKI

ŚREDNIOWIECZE NA KAPITOLE*)

NIE BYŁA to pierwsza kompromitacja na waszyngtońskim Kapitolu. Było ich więcej. Historia kongresowego Komitetu dla Badania Działalności Antyamerykańskiej (House Committee on Un-American Activities) sięga czasów przedwojennych. Tym razem przewodniczą Trybunału Czarownic podjął się „wytrawny” reaktorista J. Parnell Thomas, kongresman ze stanu New Jersey (republikanin). Od sierpnia trwają więc w Waszyngtonie najbardziej kompromitujące Stany Zjednoczone procesy, skrupulatne badania śledcze, których nie uniknie chyba nawet sam generał Eisenhower. Thomas zainicjował moralny terror wobec wszystkich, którzy współpracowali kiedyś z Rooseveltem, względnie znani byli ze swego liberalizmu.

Postanowiono po prostu zozydzić nazwisko wielkiego prezydenta, a jego przyjaciel unięszkodliwić. Poza partię komunistyczną, poza ruchem Wallace'a, istnieją jeszcze inne grupy w USA, które stanowią zwalczającą metodą pp. Taftów, Dullesów i Harrimanów. Prasa całego świata od wielu miesięcy podaje coraz to nowe szczegóły owych przesłuchań na Kapitolu, w których obrzucano po prostu białym głosem ongi nazwiska, znane w Europie ze swej stanowczej walki z hitleryzmem. Powracająca fala reakcji w Stanach nie mogła oczywiście — zwłaszcza w okresie wyborów na prezydenta — znieść dłużej niebezpiecznej legendy o liberalnym prezydencie, który był przez piętnaście lat postrachem 50 rodzin z Wall Street, Park Avenue i Piątej Alei w New Yorku.

Wśród prostych czytelników owo publiczne pranie brudów na Kapitolu, o którym nawet konserwatywny „New York Times” wyraził się, iż jest „pogwałceniem fundamentalnych praw zagwarantowanych przez konstytucję USA”, wywołało — jeśli wolno wnosić z listów do redakcji rozmaitych dzienników — nie tyle oburzenie, co ironiczne uwagi na temat możliwości obronnych Ameryki. „Jeśli — piszą czytelnicy „Staru” — wyszło na jaw, że większość znanych polityków okazała się szpiegami lub wrogami ustroju, jakąż mamy gwarancję na przyszłość, że sytuacja ta ulegnie zmianie... Pokazano nam w najlepszym wypadku, że polityka w Waszyngtonie zależy już dawno zgniła...” Powiedzenie Truman’a o „czerwonym śledztwie”, który po otwarciu straszliwych kuchni, zyskało powszechne uznanie, nawet u jego przeciwników. Parnell Thomas wywołał odrazę wśród normalnie myślących ludzi. Tylko, że nie oni rządzą w Ameryce... Czerwony śledczym Truman’a był przez wiele miesięcy przedmiotem żartów, dowcipów i rysunków (powiedzonko to bierze swe źródło w jednorozmiarych wyrażeniach „red hearing”, czyli przesłuchanie „czerwonych”, a „red herring”, czyli czerwony śledź o bardzo przykrym zapachu).

Ale tym, których wezwano przed sąd Thomasa, bynajmniej na żarty się nie zbierało. Aby zdławić kiełkującą zaledwie postać amerykański, postanowiono więc wznowić działalność dawnego Komitetu i sąd nad demokracją amerykańską oddać w ręce wytrawnych sług faszystów — Thomasa, Rankina, Nixona i Striplinga. Republikanie, którzy ze źle ukrywaną niecierpliwością oczekiwali wtedy dojdęcia do całkowitej władzy w Stanach, bardzo szybko pojęli, jak potężną bronią w ich rękach będzie ów trybunał politycznej „moralności”. Już pierwsze sesje Komitetu Thomasa wykazały, że obliczenia ich były słuszne. Społeczeństwo amerykańskie, trzymane w karbach postuszeństwa przez prasę i potężne stacje radiowe (ABC, NBC, CBS i Mutual), ze strachem śledziło i nadal śledzi przebieg waszyngtońskich przesłuchań. Ludzie, którzy kiedyś pracowali w urzędach lub organizacjach związanych — choćby nawet luźnie — z „New Dealem” Roosevelta i Hopkinsa, Wallace’a i Tugwella, dosłownie potracili głowy, sen i spokój. Wszystkich przerażała „kompromitacja” w oczach opinii, której potęgi nikt dotąd trafnie ocenić nie potrafił. Perspektywa skandalu — tak przeraża ludzi, że wola raczej milczeć niż protestować. Były już nawet dwa wypadki śmierci. Jeden z świadków popełnił samobójstwo w San Francisco obawiając się publicznych zeznań drugiego — dawnego podsekretarza skarbu w rządzie Roosevelta — Harry White, jeden z współtwórców niemieckiego planu Morgenthau’a

(agraryzacja Niemiec), zmarł na udar serca nazajutrz po przesłuchaniu. Prasa, która potrafiła śmiertelnie byle jakiego gangstera w Chicago podawać całe kolumny tekstu, zamieściła wówczas skromną zaledwie notatkę o tragicznej śmierci człowieka, który podczas wojny był przecież członkiem rządu amerykańskiego!

Komitet J. Parnell Thomasa i Johna Rankina nie jest czymś nowym w historii USA. Instytucja tego rodzaju powstała po raz pierwszy przed dziesięć laty, w 1938 roku. Inicjatorem jej był znany awanturnik polityczny z Teksasu, Martin Dies, długoletni reprezentant tego stanu w Kongresie. Wybrała go zwykłe powołanie Beauforta, najbardziej apatyczna i politycznie zacięta strona Teksasu.

Uświadomienie polityczne w Beaufortu było tak znikome, że Martin Dies (podobnie zresztą jak jego ojciec) wybierany był zaledwie 5 procentami głosów do Kongresu. Głosowali ci, do których przemawiał Dies. Inni żalowali koni i butów!

Dopiero w roku 1944, gdy Waszyngton zainteresował się prowincją Beaufort i wysłano odpowiedniego człowieka (pod auspicjami tzw. Political Action Committee, na którego czele stanął wówczas zmarły przywódca Kongresu Organizacji Zawodowych CIO, Sydney Hillmann), desygnowany na kongresmana sędzia Combs (z ramienia „Citizens Protective League”, czyli Ligi Ochrony Obywatela) uzyskał 35 tysięcy głosów. Martin Dies wycofał się z wyborów, albowiem w primariach wyborczych otrzymał — po 14 latach posłowania — zaledwie pięć (zapewne własnej rodziny) głosów.

O Martinie Dies nikt dziś już nie pamięta w Teksasie. Duch jego natomiast stałe kraży dotąd po Waszyngtonie. On bowiem był ojcem amerykańskiej inkwizycji. Już w roku 1931 został członkiem tzw. House Rules Committee. W sześć lat później — mimo, że sam był członkiem partii demokratycznej, Dies przyłączył się do anty Rooseveltońskiej opozycji w łonie demokratów i namierzył zwalczając reorganizację przestarzałego Sądu Najwyższego (Supreme Court). Za drugiej kadencji Roosevelta Martin Dies rozpoczął swój polityczny żywot z innej beczki. Domagał się w Kongresie stałej kontroli prasy, radia, cudzoziemców etc. W rok po tym udało mu się nakłonić Kongres do wyasygnowania 25 tysięcy dolarów na utworzenie Komitetu dla Badania Antyamerykańskiej Działalności, którego oczywiście został przewodniczącym. Nareszcie miał w rękach oś konkretne! „He got a chance” — jak powiadają kupcy amerykańscy — „zapłał szansę”.

Badania swe rozpoczął Dies od komunistów, mimo że już wtedy dawali się w Ameryce odczuć skutki działalności hitlerowskiego Nazi-Bundu Fritza Kuhna, gauleitera NSDAP na USA, który zresztą niedawno zbliżył z obrotu dla internowanych zbrodniarzy wojennych w Bawarii. Doszło wtedy do pierwszego skandalu, a demokratyczna prasa amerykańska wyrażała się o Martinie Dies jako o notorycznym demagogu, faszycie i „gestapowcu z Teksasu”. Pomimo opozycji samego prezydenta Roosevelta, Dies za każdym razem znajdował w Kongresie patronów, którzy otaczali go opieką i nie żalowali funduszy na jego akcję. Jeszcze w roku 1944 Komitet Diesa zdołał wyłudzić budżet w wysokości 75 tysięcy dolarów.

Gdy jednak — pod wpływem wojny i agitacji liberatów — wpłynęła kłędys do tego Komitetu skarga na działalność Ku-Klux-Klanu z wnioskiem o przesłuchanie „wielkiego smoka” z Luizjany, cała sprawa została zresztą zatuszowana. Małe smoki umiejętnie zakrzętały się dookoła własnych spraw i skargę zgłotowały w oczach obojętnego społeczeństwa. Gdy podniosły się ciche protesty, jeden z wielkich inkwizytorów, osławiony John Rankin (wybrany obecnie ponownie do Kongresu) oświadczył publicznie, że KKK przede wszystkim nigdy nie był „antyamerykański”, ale przeciwnie — właśnie bardzo amerykański...

Wznowienie działalności Komitetu przypada na okres antydemokratycznej i przedwojennej kampanii republikanów w Stanach Zjednoczonych. W obliczu wzrostu nowych prądów oraz walki o fotel prezydencki w Białym Domu, partia Thomasa Deweya i Johna Foster Dullesa, zwolenników tradycyjnego kapitalizmu, postanowiła wskrzesić procesy czarownic w Waszyngtonie i nadać im

charakter publicznych sądów obywatelskich. Komitet bowiem nie posiada uprawnień trybunału, może tylko z urzędu przesłuchiwać wezwane osoby, a w razie potrzeby sprawę przekazać do sądu federalnego. Jeśli natomiast FBI — czyli tajna policja — uzna na podstawie stenogramu przesłuchania, że świadek coś nabroił albo niejasno sprzecyzował swą pracę w służbie państwowej, grozi mu zawsze skarga o zdradę stanu.

Pierwszym wyzyczajem po wojnie był — jak wiadomo — proces braci Eislerów, Gerharda i Hansa, znanych antyfaszystów niemieckich, z których pierwszy został osadzony w więzieniu, a drugi — deportowany do Niemiec. Następnym etapem była „szopka” w Hollywood, gdzie szereg aktorów, reżyserów oraz scenarzystów stanęło przed trybunałem Thomasa i Rankina. Od tej chwili datuje się zresztą upadek produkcji w Hollywood, skoro wielu znaniomych twórców przeniosło się do Anglii (np. Orson Welles, scenarzysta Dmytryk i inni). W miejsce problemowych filmów przyszedł awanturniczo-cowbojskie melodramaty i detektywistyczne sztuczki.

Stary Kongres nie pozwalał pieniądze na tak ważny instrument propagandy, jakim stał się w krótkim stosunkowo czasie Komitet Thomasa. Na nowe przesłuchania w Waszyngtonie, które ktoś porównał do komedii Goeringa po spaleniu Reichstagu, wyznaczono hojną ręką 200 tysięcy dolarów. W ciągu dziesięciu lat istnienia Komitetu wydano ponad milion dolarów na ten publiczny szantaż. Ale cóż znaczy ta skromna kwota wobec zamierzonych efektów!

Cel współczesnych cenzorów moralności politycznej w USA był jasny: możliwie szybko skompromitować konkurentów, zarcuciacim szpiegostwo na rzecz obcego mocarstwa, zdradę stanu i wydawanie sekretów wojennych aż do bomby atomowej włącznie. Nie wahało się udzielić wspomnień prezydentowi Trumanowi, zaprzysięgać generałów, admirałów, ministrów i dyplomatów, aby tylko wyjawili własnemu społeczeństwu, że zwolennicy Roosevelta, Wallace’a, liberatowie i komuniści sprzedawali bezpieczeństwo Ameryki na raty.

Aby sparaliżować opinię publiczną i zagłuszyć ssumienie frondujących liberatów, sięgnięto nawet do prowokacji. Maskarada została zresztą wyreżyserowana. Trzech byłych członków amerykańskiej partii komunistycznej, których zeznania FBI trzymało przez trzy lata w ukryciu, w oczekiwaniu na odpowiedni moment, zgodziło się odegrać rolę Azełłów. Zdrajcami tymi byli: Elisabeth Bentley, owa „piękna blondyna, która później okazała się brzydką brunetką”, koronny świadek oskarżenia i heroina maskarady na Kapitolu, Whitaker Chambers, również „komuniści”, który nagłe otrzymał posadę starszego redaktora w reakcyjnym tygodniu „Time” (5 milionów nakładu) oraz Louis Budenz, historyk, dawny współpracownik komunistycznego „Daily Workera”, którego już dawno uniesiono z redakcji, a dziś spec od ataków na Rosję i Wallace’a.

Trójka tych „świadków” oskarżenia była tronem wszystkich przesłuchań na sesjach Komitetu Thomasa. Oświadczyli oni zgodnie, że jako członkowie KP byli na usługach Rosji i sprzedawali sekrety wojenne, względnie pośredniczyli w ich dostarczeniu agentom Związku Radzieckiego. Gdy jeszcze w roku 1945 FBI skrupulatnie przeszukało wszystkie inkryminowane osoby, raporty poszły prosto do archiwum. Pomimo wysiłków policji, zeznania prowokatorów były tak mało prawdopodobne a ich udział w życiu publicznym tak niki, że nawet FBI nie miało odwagi wytoczenia procesu o zdradę stanu któremukolwiek ze wskazanych działaczy.

Ale gdy czasy się zmieniły i sytuacja międzynarodowa dojrzała do akcji, demagogowie z Partii Sionia ruszyli do ataku. W tryby śledztwa wciągnięto wszystkich, którzy byli potencjalnymi wrogami republikanów. Przed Komitetem przewinęły się dziesiątki osób znanych w całej Ameryce. Wśród nich:

Alger Hiss, obecny prezydent Fundacji im. Carnegie’a dla spraw pokoju, jeden z organizatorów konferencji w San Francisco, w Dumbarton Oaks, doradca Roosevelta w Jalcie, wysoki urzędnik w Departamencie Stanu —

Dr Harry White, podsekretarz stanu w departamencie skarbu, wybitny ekonomista i jeden z twórców „New Dealu” —

Lauchlin Currie, doradca ekonomiczny Roosevelta, później Trumana —

Charles Kramer, wybitny zwolennik Roosevelta, członek komisji śledczej senatora Claude Peppera z Florydy —

John Abt, doradca prawny CIO —

Lee Pressman, działacz związków zawodowych —

William Remington — z Departamentu Marynarki, w którego obronie stanęło aż trzech admirałów i min. marynarki Sullivan —

Henry Collins, najbliższy współpracownik Wallace’a z czasów jego kierowania ministerstwem rolnictwa —

i wielu, wielu innych, którym stawiano za każdym razem jedno stereotypowe pytanie: „Czy jest pan komunistą i czy wierzy pan w to, że można być komunistą i zarazem lojalnym obywatelem USA?”.

Jeden ze wspomnianych wyżej oskarżonych, Lee Pressman, oświadczył prasie wychodząc z przesłuchania: „Jestem pewien, że naród amerykański właściwie oceni ten bezwstydny cyrk, jaki obecnie występuje w Waszyngtonie”. Pressman, jeden z najwierniejszych współpracowników Wielkiego Prezydenta, zdolny prawnik, dawny doradca Henry Wallace’a z czasów jego walki z wielkimi farmerami (program AAA, czyli Agricultural Adjustment Agency) i jeden z czołowych działaczy CIO, najtrafniej scharakteryzował inkwizytorów z Kapitolu.

Inny z oskarżonych „wyrotowców” w tym „spy ringu” (fałszuch szpiegowski), Victor Perlo, dawny ekonomista z War Production Board (Urzędu Produkcji Wojennej), powstałony wobec bezsensownych zarzutów, rświadczył zdumionym inkwizytorom: „Jestem dumny z mojej służby dla narodu podczas wojny i z tego, że obecnie popieram Henry Wallace’a — jego pokojowy program. Na ód amerykański — pomimo propagandy prasowej — rozumie w swej masie, o co tu chodzi naszym sądom w tak dramatycznych chwilach amerykańskiej polityki...”

Perlo miał na myśli zręczną grę republikanów, którzy pragnęli sprawozdaniami z przesłuchań na Kapitolu zaprzętnąć uwagę społeczeństwa i odwrócić ją od koniecznych reform społecznych, o które od lat dopominają się miliony prostych ludzi w USA.

Mówiąc o Komitecie, pamiętajmy, że jest on wynikiem porozumienia demokratów z republikanami. Obie partie ponoszą więc zań odpowiedzialność Parnell Thomas, Karl E. Mundt, John Mc Dowell, Richard B. Vail — to zwolennicy Partii Sionia (republikanie); John S. Wood, John Rankin, Hardin Peterson i Edward Hebert — to demokraci (czciciele Partii Osta).

Szara eminencją Komitetu Thomasa jest niejaki mr. Stripling — coś w rodzaju naczelnego prokuratora Inkwizycji kapitolilńskiej. Człowiek ten jest duszą wszystkich przesłuchań i za swą pracę otrzymuje 10 tysięcy dolarów rocznej pensji. Jest to zawrotna suma dla człowieka, który jeszcze stosunkowo niedawno pełnił w Komitecie Martina Diesa skromną funkcję pomocnika... woźnego!

Poza ambicją, Stripling nie posiada żadnej innej kwalifikacji ani oczywiście zawodowego interesów i wie, komu zawdzięcza swą niesłychaną karierę polityczną. Człowieka tego boją się teraz wszyscy.

Mr. Stripling — jak go sobie przypominam — to szczupły brunet o zimnych, niebieskich oczach, energiczny i wszędobylski. Ponieważ główny inkwizytor — nieraz ze względu na podęży wiek — nie bardzo orientują się w ogromnym materiale dowodowym, praktycznie tkwią wszyscy w kieszeni sprytnego pana Striplinga.

Przez pięć dni siedziałem na sztucznie chłodzonej sali Kongresu, przysłuchując się przewodowi inkwizycji amerykańskiej. Publiczność — kobiety i dzieci, trochę emerytów i drobnych rentierów, którym czas się w domu dłuży. Dziennikarze i rodziny „pod sądnych”, czasem jakaś wycieczka lub kilka znanych osobistości gwoli zaspokojeniu znużonych fotoreporterów.

Widowisko fantastyczne. Nawet najbardziej zaciekli republikanin musiał w końcu przyznać, że tak homeryckich śmiechów nie słyszał na sali od czasów Buster Keatona.

*) Fragment z dziennika podróży pt. „Trzy miesiące w USA”.

WITOLD ŁUKASZEWICZ

Nieznane listy Maurycego Mochnackiego do Antoniego Ostrowskiego (1833-1834)

Paryż, dn. 18 lipca 1833.

Jaśnie Wielmożny Wojewodo!

Jeszcze tak słaby jestem, iż własną ręką pisać nie mogę, zobowiązałem me, Kraińskiego, ażeby mi swojej rękę pożyczyl do przelotnego następującej prośby:

Wypadła mi z planu od dawna zamierzonego ogłosić rys ogólny wypadków zaszłych po oddaleniu się naszym w Warszawie, aż do wejścia wojsk polskich w granice pruskie. Często przychodzi mi mówić w tym piśmie o samym Wojewodzie, jako grającym w ostatnich sprawach naszej tak ważną i dla Jego własnej sprawy tak zaszczytną rolę. Nie chciałbym w tej mierze być niedokładnym ani mylnym. Dlatego mam honor prosić Wojewodę, ażeby stosownie do przyrzeczenia dawniej mi danego pozwolił korzystać z tej części szacownych pamiętników³⁰⁾ swoich, które zawierają obraz ostatnich momentów rewolucji naszej już po stracie Warszawy. Co tylko będzie w tej materii wydrukowane, to pierwszej komunikować JW Wojewodzie nie omisszam.

Oczekując przychylnego odpowiedzi, mam honor pisać się Jaśnie Wielmożny Wojewodę prawdziwym sługą.

M. Mochnacki (własnoręczny podpis)

Szanowny Wojewodo!

Notat Wojewody co do sejmu odeśłać nie mogę, ponieważ dane mi były dla zrobienia z nich użyciu w „Pamiętniku Emigracji“; więc je pierwszej przepisać muszę, po czym sam je oddam. Tom mój pierwszy już prawie skończony³¹⁾. I ja zdanie Wojewody podzielam co do mowy mianej na obchodzie 29 listopada, że ani za wiele, ani za mało, ale w samą miarę wyraża, co tak znakomity obywatel i światły publicysta, reprezentant narodu, narodowi wśród obecnych okoliczności powiedział uznać za rzecz przywołać, Miara, tak i powaga charakteru, zdaniem moim, nie tylko to, lecz wszystkie inne pisma Szanownego Wojewody.



Mauryce Mochnacki

Co do Spaceria — Zawrac z nim znajomości radnym, a to dlatego, aby mu powiedzieć, że najpierwszą powinnością moją byłoby wyznaczyć go na pojedynkę, za to, iż mnie tak niegodnie traktuje w swoim piśmie³²⁾ — co pewnie nastąpi, jeżeli nie chce lepiej się zainformować o rzeczy, i fałsz odwołać. Ja mam z nim na pieńki i przekonam go, że nawet przez szacunek, którego jest godzien za usługi w sprawie naszej, opinię jego tyle cenię, że musi się z mną albo wystrzeżać, albo płotki odwołać czy w dalszych edycjach dzieła swego, czy w tłumaczeniu na obce języki. W żadnym jednak przypadku nie mogę się z nim zejść u Szanownego Wojewody, gdyż nie chciałbym, aby Wojewoda był świadkiem żywej sceny, która koniecznie między mną i Spacerem przy pierwszym spotkaniu miały mieć musi.

Jeżeli Spacer chce uniknąć sceny, to niech po prostu przyjedzie do mnie do Marly, — w takim tylko razie grzechnie z nim rozmawiać mogę, i zdaje się, że mi tę satysfakcję winien, — poczem może się spodziewać ode mnie wielu skazówek bezinteresownych, któreby sprostały niektórym fałszywym ansichtem i ćmące jego pismo.

W drugim tomiu mego dzieła, który się zacinie drukować, będę się często naprzykrzał Szanownemu Wojewodzie — bo już tu zajdą rzeczy sejmowe. Położyłem sobie za maxymę we wszystkim zasięgać rady, opinii i wiadomości Szanownego Wojewody, którego proszę tymczasem przysłać ode mnie zapewnienie głębokiego poważania, z którym mam honor zostawać.

M. Mochnacki,

Marly-le-Roi, d. 15 grud. 1833.

Szanowny Wojewodo!

Marszałek Sejmu³³⁾, ile mnie się zdaje, kazal był w Warszawie oddzielnie wydrukować sesję 10-go grudnia, na której była postanowiona dyktatura. Rozumiem, że ta broszura musi się znajdować w ręku Szanownego Wojewody. Jeżeli tak jest, więc mam honor prosić o udzielenie mi jej na dni kilka, jeżeli zaś nie znajduje się to u Szanownego Wojewody, w takim razie prosiłbym przynaj-

mniej wskazać u kogo się znajduje, ponieważ nie może być, żeby jej który z członków sejmu nie miał. Przytym proszę Wojewodę, żeby mi był laskawy udzielić swej opinii — czyli według zdania Wojewody Sejm nasz rewolucyjny (bo oto była kwestia) zaczął się dnia 18-go grudnia lub 20? I co znaczący wyrażenie X.cia Czartoryskiego: „Otwarcie Sejmu formalnie nastąpi 20-go grudnia“, skoro 18-go rewolucja była uznana za narodową? Zależając wyraz głębokiego poważania

M. Mochnacki,

Marly-le-Roi, dn. 19 grud. 1833.

P. S. Jeżeli Wojewoda ma tę broszurę, więc prosiłbym o komunikowanie mi jej przez odwagę tego listu.

Jaśnie Wielmożny Wojewodo!

Prawdliwie wypowiedzieć nie umiem podziękowania mego za laskawą udzielenie mi wyjątku z szacownym memoirem JW Wojewody, lecz zarazem mam honor donieść Wojewodzie, że termin 4-5 dni do zwrotu naznaczony jest dla mnie zbyt krótki! Nagłony przez drukarnie, zajęty cały dzień niestanną pisaniną, nie będę mógł w tak przedkim czasie przekopiować tego wyjątku o Gwardii narodowej. Czylibym nie mógł uprosić u Wojewody dłuższego czasu? Co do rozporządzeń, jak sobie mam postąpić w użyciu tego materiału, zaręczam, iż co do jęły stanie się zadość woli JW Wojewody, objawionej w ostatnim liście. Niewątpliwie co tylko napiszę u Gwardii (a w drugim już rozpoczętym tomie mego dzieła ta materia traktowana być musi) napisane będzie tak, jak chce mieć bawda, to jest tak, jak JW Wojewoda sobie życzy. Ażeby zaś członkowie tej Gwardii przekonani byli o przychylnie dla siebie opinii Wojewody, nie omisszam bez odmiany to w tekst mojej narracji włożyć, co tylko wypadnie z memoirem JW Wojewody i wymienić źródło, z którego te wiadomości czerpałem. Niewypowiedzianie cieszę się dla sukcesu mego pisma i pozytyw- nego interesu ojczyzny, który zawsze skorzysta na wiernym wystawieniu ostatnich wypadków, że mi wolno jest zmoczyć się, zasięgać swiadłej rady, i porozumiewać się w tej materii z JW Wojewodą. W ostatnim liście moim prosiłem Wojewodę o opinię co do 18-go grudnia 1830, na której sesji dyktatura postanowiona została. Opisując tę sesję, jak i w ogólności cały proceder z dyktaturą, naznaczoną tak fatalnymi skutkami w dziejach naszego powstania, znajdując się w bardzo trudnym położeniu: jako historyk milujący przede wszystkim prawdę i jako Polak Kochający nade wszystko ojczyznę nie mogę nie zaostrzyć pióra mego w oddaniu sesji 20-go grudnia. W tym obrazie P. Marszałek, którego ja osobliwie poważam, z którym tak dawna mam znajomość, i którego zyczliwymi względami chlubitem się, P. Marszałek mówię, gra rolę dla swego urzędu, dla swego obywatelstwa nienajwiększą — bo oczywiście sesja 20-go grudnia odbyła się po deklaracji dyktatora³⁴⁾, że tylko Polskę Kongresową zaręcza — i nie więcej. A zatem Marszałek wiedząc o tym, jak myśli dyktator, nie wahał się jednak tak postawić kwestię, i tak naglić Izby, aby koniecznie dyktaturę powierzyła człowiekowi, który z tej władzy nieograniczonej tylko kongresowy użytek zrobić zamierzał, i do tego się poprzedni przyznał Marszałkowi. Proszę JW Wojewodę raz mi udzielić opinii swojej w tej mierze 1-o jako brata, 2-o jako Polak, który więcej jeszcze Polak jak brata kocha. Nie może być, i ja temu nigdy nie uwierzę, ażeby Marszałek tym postępkiem swoim chciał skrzywdzić rzecz publiczną, muszą być powody, które zdaniem jego kierowały. W tej ważnej materii stanu, i które to zdanie omawiały. Ja o tych powodach, to jest rozumowania nich nie wiem, albo ich nie pojmuję; ale być może, że JW Wojewoda znać je lepiej jak ja — a zatem proszę o ich wyłożenie tak, aby mogły figurować w bezstronnym i poważnym tych zdarzeń wyłuszczeniu.

Broszurę i korespondencję JW Wojewody z X. Czartoryskim, za której udzielenie dziekuje, wczoraj jeszcze posłałem przez P. Podczasyńskiego³⁵⁾ do Paryża, wyczytawszy w liście przedostatnim JW Wojewody, że tam pojedziesz w poniedziałek, więc są w Paryżu, — w hotelu JW Wojewody.

Czas jest tak słoty a zatrudnienia moje tak nagłe, że nie mogłem złożyć osobście mego uszanowania JW Wojewodzie, lecz po świętach spodziewam się być w St. Germain dla wyrozumienia Szanownego Wojewody tak co do 18-go grudnia i w wielu innych materjach.

Proszę przysłać wyraz głębokiego poważania, z którym mam honor zostawać.

M. Mochnacki,

Marly-le-Roi, dn. 20 grudnia 1833.

Szanowny Wojewodo!

Otrzymałem list JW Wojewody wczoraj i zmartwiłem się niezmiernie. Przypadek zdarzył, że właśnie tego wieczora, kiedyś się umówił z P. Chelmickim, ażeby razem z Wojewodą roztrząsać pismo zawierające plany i środki zamienienia Emigracji w ciało rządnicze, Podczasyński, u którego się znajdowałem, zesłał bardzo cicho, Trzeba mu było stawić piławkę, a że nikogo nie miał przy sobie tylko mnie, przeto musiałem szukać doktora, chociaż jak pijkami i na tym wie-

czór upłynął. Ja widać mam szczęście do suchotników — niedawno straciłem brata,³⁶⁾ teraz jestem na punkcie stracenia przyjaciela na tę samą słabość. Przeto nie mi innego nie zostaje tylko najmocniej przeprosić JW za uchybienie terminu, czego tym więcej żałuję, że pierwszej rozczytawszy się w piśmie Szanownego Wojewody miałem dużo uwag i starałem się przygotować do dyskusji. Z projektów JW Wojewody w tym względzie najwięcej przypada do mego przekonania ten, w którym Wojewoda jedną osobę proponuje emigracji za naczelnika. Wiem, jakieby były trudności do przelamania w przywiedzeniu do skutku władzy w tym kształcie określonej. Ale to jest jedno co nas zbawić może. Ponieważ nie tylko JW Wojewoda, ale bardzo wiele osób teraz uważają swoją obraca ku temu tak ważnemu



Antoni Ostrowski

przedmiotowi, ponieważ zdaje się, że po tym smutnych doświadczeniach emigracja łatwiej dzisiaj, niżeli kiedykolwiek, nakloniła by się do przyjęcia tej myśli (przy potrzebnych u utworzenie jej drogi staraniach) przeto warty, żebyśmy się czynnie zajęli zebraniem w jedno wszystkich chęci tego rodzaju i wykrzesali z nich pewną ogólniejszą wolę. W tych dniach, jeżeli tylko będę pewny, że JW Wojewoda zastane w St. Germain i że Wojewoda wybaczy mi raczej pierwsze niewstawienie się do dyskusji, w terminie, wybra- rę się do St. Germain, żebyśmy cały projekt punkt za punktem rozebrali.

Co do drugiego pisma — względem druku, którego JW Wojewoda zasięgał mojej opinii — ponieważ przedmiot jest nowy, ciekawy i traktowany z gruntownością właściwą JW Wojewodzie w materjach stanu, nie widzę dla czego niemialo być to pismo ogłoszone drukiem — i to jak najprędzej³⁷⁾. Pisać teraz o Żydach, zastanawiać się nad ich położeniem, nad ulepszeniem ich losu, osobliwie pisać o tym Polakowi i takiemu Polakowi, jaki jest Szanowny Wojewodo, jest to jednak nieszczęśliwemu krajowi naszemu leżnego i możnego sprzymierzeńca. JW Wojewoda każesz mi odsłać to dzieło, chociaż dla krótkiego czasu i zatrudnienia mego, w czytaniu jego nie posunąłem się dalej, jak do połowy. Wszakże mogę to sobie później nagrodzić i raz jeszcze prosić Wojewodę o pozwolenie mi tego pisma — tym bardziej, że co do Gwardii narodowej w ciągu naszego powstania, którą opisuję, wiele ono objaśnia i wzięcie rzeczy z prawdziwego punktu ulatwia.

Mam honor pisać się prawdziwym sługą JW Wojewody.

M. Mochnacki,

(między 7 a 9.4.1834)

Paryż, Rue Dauphin Hotel Dauphiner

Jaśnie Wielmożny Wojewodo!

List Szanownego Wojewody z dnia 25 8 bris 7) odebrałem i niezmiernie się ze słów marszałka w tym liście przytoczonych uradowałem. Jest to nowy i wydatny rys szlachetnego charakteru P. Władysława. Lecz z drugiej strony mi pilnie rozważałem wyraz (które przyznaje byłoby uległy wielkiej modyfikacji, gdyby urywkowy fragmentaryczny sposób redakcji mego dzieła pozwalał mi je choć w części pierwszej obejrzeć nim szło do druku) umieszczone w dziele co do marszałka, nie widzę w nich nic, prócz ostrości sądu autora, co marszałkowi jako człowiekowi publicznemu, jako charakterowi uchybiało. Druga dyktatura była dziełem marszałka — samego marszałka dla czego? dla czego? Bo gdyby był marszałek nie chciał dyktatury legalnej, żadna presja opinii, żaden gwałt zewnętrzny, nie byłby jej zdołał przewieźć w Izbach. Marszałek był wtedy najsiłniejszą po Chłopcickim osobą kraju. Dyktatura, którą wziął szturmem, której politykę znał, a która do dobrej sprawy spodziewał się naklonić (proszę Wojewodę), ażebyś rozważył ten wyraz o naklonić dyktaturę głęboko interes rewolucji. Marszałek więc omylił się w swej rachubie, bo nie mógł, jak się spodziewał, naklonić dyktatury do celów rewolucyjnych. Ta pomyłka była wykreconiem, stanem tak niebezpiecznym, że podług mnie wszędzie indziej trzeboby przypłacić za to gardłem. Lecz szafot w tak wielkich situa-

cyjach, szafot za uchybienie, za pomylenie się w wysokim rachunku politycznym jestże to coś, co by krzywdziło charakter człowieka? Wielu to ludzi politycznych zgineło na rozstwowaniu za podobne omyłki — a jednak historia nie odmawia im należytej czesci.

Wiele skoro ten gatunek śmierci, gdy zapadnie de fakto w świecie politycznym na scenie rewolucyjnej, nie pozbawia szacunku meza politycznego — jakąż mu może krzywdę zrobić goła o tym wzmianka w historii. Otóż jest punkt, z którego ja znowu bronie mego wyrażenia — które zresztą jest w rzeczy samej za porywcz.

Na dzieło JW Pana dalej oczekuję z niecierpliwością, którą we mnie zaostrza szeroka i prosta droga, jaką Szanowny Wojewoda naprzód niejako wytknął dla naszych reform socjalnych. Co do okrzyków tutejszej frenetycznej demagogii przeżywającej rok 93³⁸⁾ (tak dalece, że sobie języ na tym powylamywała) tych się bynajmniej nie lękam dla sukcesu tego tak ważnego pisma. Co do drugiego extrema (jak się JW Wojewoda wyrażasz), co do arystokratycznych okrzyków; wątpię, żeby „Kronika“³⁹⁾ targnęła się na to pismo.

Winiem słów kilka położyć o wzmiance, która JW Wojewoda czynisz w liście co do teraźniejszego połączenia się mego z pewnymi ludźmi w celach politycznych. Podpisałem protestację przeciwko deklaracji z Pottiers⁴⁰⁾ — sądzę, że ogromna większość tak emigracji, jak narodu okaże się przeciwną samowolnym dekretom i jakiejś koczającej procedurze w odsądzeniu ludzi od sławy. Ale JW Wojewodo nie jesto jeszcze połączenie się w celach politycznych. Ja wprowadzić do mojej strony byłbym gotów wejść w kombinację nie tylko z nimi, lecz z każdą partią chęcą debra oczynny, wszakże pod pewnymi tylko warunkami. Dotąd jednak postzegam, że wszelkie kombinacje tego rodzaju są bardzo trudne. Ja w emigracji nie chciałbym widzieć żadnej partii, połączonej z którąkolwiek staralby się zaraz zatrzej jej charakter jako partii i wciągnąć albo ja w ogół al. bo ogół w nią — aby była całość. Ten sposób myślenia utrudza (nie dla mnie wprawdzie) połączenie się z którąkolwiek partią — ale dla każdej partii podobną kombinację czyni niezmiernie ciężką.

Materiały do mego 3-go tomu są już zebrane — lecz P. Chelmicki⁴¹⁾ wystąpił przeciwko mnie z publicznym oświadczeniem na okładce drugiego tomu, co moje z nim stosunki zerwało.

Przyjmij JW Wojewodo zapewnienie mego głębokiego szacunku, z którego mam honor pisać się Jego sluga.

M. Mochnacki,

Auxerre, dnia 6 listopada (1834)

Tu będę zimował dla wielkiej tanioci pomieszkania, stołu i drzewa⁴²⁾.

PRZYPISY:

30. Mowa tu o pracy Antoniego Ostrowskiego o powstaniu będącej w rękopisie. Ocalała ona i znajduje się w zbiorach Ostrowskich. Zawiera się w niej wartościowy materiał szczególnie do warszawskiej gwardii narodowej.

31. „Powstanie narodu polskiego w r. 1830/31“. Ukazały się w Paryżu w r. 1834 dwa tomy.

32. Spacer Ryszard Otton: „Historia powstania narodu polskiego w roku 1830-1831. Tomów 1-3. Paryż 1833.

33. Władysław Ostrowski, marszałek sejmu, brat wojewody Antoniego, przebywał internowany w Gratzu.

34. Michał Podczasyński, przyjaciel Mochnackich, wydawca i współredaktor „Pamiętnika Emigracji“ od 1. 7. 1832 do 25. 7. 1833, zmarł na suchoty w początkach lipca 1835 roku.

35. Kamilla Mochnackiego, młodszego brata Maurycego, zmarł 17 sierpnia 1833 w Hyères.

36. Mowa tu o książce A. Ostrowskiego p. t.: „Pomyśl o potrzebie reformy towarzyskiej w ogólności, a mianowicie co do Izraelitów w Polsce...“, która ukazała się w końcu 1834 r. w Paryżu. Lekturę tak o tej książce powiadamił plk. Roślakowski w liście do niego pisanym z dnia 23. 12. 1834 roku z Brukseli: „Wojewoda swoje wielkie o p u s i u z w kurs puścić. Jest tam wiele o Tomaszowie, o Żydach, o gwardii narodowej starożkonnej“.

37. 25 października.

38. 1793 — aluzja dotyczy demokratów z Tow. Demokratycznego Polskiego.

39. „Kronika Emigracji Polskiej“, pismo czartoryszczyków redagowane przez Kunatka, Karola Hoffmana, Ksawerego Bronikowskiego i Karola Sienkiewicza, wychodziło od 1834 do 1839 roku.

40. Akt polski, wydany 29 lipca 1834 z inicjatywy demokratów przez Komisję Korespondencyjną w Pottiers, potępił Adama ks. Czartoryskiego jako nieprzyjaciela emigracji. W ciągu ośmiu miesięcy od wydania aktu podpisało go 2840 emigrantów.

41. Wincenty Chelmicki, poseł, leświelista, wydawca dzieła Mochnackiego o powstaniu.

42. Mauryce Mochnacki zmarł 20 grudnia 1834 roku. Porównaj wydane przez niego t. zw. „Pisma auxerrekie“. 1) „List do generała Dwernickiego od oficerów, podoficerów i żołnierzy z Zakładu Auxerre“ z dnia 17. 10. 1834 r., atakujący Powstanie Demokratyczne Polskie i gen. Dwernickiego za potępienie Czartoryskiego oraz 2) „Pismo Okolne oficerów, podoficerów i żołnierzy w Zakładzie Auxerre do rodaków w Emigracji“ z dnia 23 października 1834 r., formułujące pogląd o konieczności ufania tylko we własne siły narodu a nie liczenia na pomoc obca przy wywalczaniu niepodległości i głoszące potrzebę „władzy centralnej insurrekcyjnej“. Oba pisma — w zbiorze M. Mochnackiego: Pisma rozmaite. Oddział porowolucyjny. Paryż 1836, str. 451, 462.

43. List Mochnackiego do Ostrowskiego z dnia 6 listopada 1834 r., jest ostatnim, jaki napisał przed zranieniem. W tym dniu wysłał na kilka godzin przed śmiercią do Ostrowskiego swój roczulajacy list do rodziców. Por. Dzieła Maurycego Mochnackiego, tom I, str. 283-286, Poznań 1833. (Listy) oraz Jan Kucharszewski: Mauryce Mochnacki. Kraków 1910, str. 346-7.

Witold Łukaszeicz.

*) Gen. Józefa Chłopcickiego.

JAN KOTI

DOBRY DZIKUS

„Jahus jest stworzeniem najbrzydszym, najgorszym, najniebezpieczniejszym, jakie tylko natura mogła wydać, krnąbrnym i złośliwym, ukradkiem wysysa mleko z wymion krów, zabija i pożera koty, rozdeptuje owies i trawę i dopuszcza się niezliczonych innych rozwiązań, jeżeli się go najciszej nie pilnuje”.

(Swift: „Podróże Guliwera”)

Jest rzeczą zdumiewającą jak bardzo są do siebie podobne podróże fantastyczne i rzeczywiste w drugiej połowie XVII wieku i początkach XVIII. Nieokrzesani i brodaczy kapitanowie, którzy opływają Przylądek Dobrej Nadziei, naiwni bractwiczowie z zakonu Franciszka, surowi i cnotliwi janseniści, mądrzy Jezuiti wychowani na klasykach, awanturnicy wszelkiego pokroju i gatunku, hugenoci uciekający przed prześladowaniami, erudyci wreszcie, libertyni i zwykła literacka hołota, układająca na poddaszach paryskich fantastyczne powieści lub zmyślone podróże, odnajdywali w Antarktycznej Francji i na księżycu, w Indiach Zachodnich i na słońcu, w Peru, na Madagaskarze, na południowych wyspach i w nieodkrytej jeszcze Australii, w obu Amerykach i w środku ziemi podobne do siebie ludy, te same zwyczaje i te same zasady społecznego bytu.

Wszystkie wydania „Nowych podróży barona de Lahontan”, ogłoszonych po raz pierwszy w Hadze w r. 1703, zdobi sztych przedstawiający nagłego amerykańskiego dzikusa, który „leges et sceptrum terit”, w prawej ręce trzyma strzałę, w lewej łuk; prawą nogą depta biblię, lewą kopie koronę i berło. Alegoria ta przedstawia z niesłychaną trafnością rolę, jaką odegrał „dobry dzikus” w kształtowaniu się filozoficznych i społecznych ideałów XVIII wieku.



„Dobry dzikus” wg. Ilustracji do jednego z dawnych wydań „Podróży Guliwera” Swifta

Baron de Lahontan był jednym z najzuchwalszych awanturników i jego dobry dzikus był jednym z najzuchwalszych dobrych dzikusów w literaturze europejskiej. Baron de Lahontan układał dla samego króla angielskiego plany owdzielenia francuskimi koloniami w Kanadzie. Jego dobry dzikus zwiedził Francję i takie oto przywiózł wrażenia z podróży:

„Widziałem na drodze z Paryża do Wersalu wieśniaka, który miał zostać publicznie wychłostany przez kata za polowanie w pańskich lasach. Jadąc z Rochelle do Paryża spotkałem człowieka skazanego na galery, ponieważ znaleziono przy nim worek soli. Ci dwaj nieszczęśliwcy ponieśli karę: ale na czym polegała ich zbrodnia? Jeden zabił dzikie zwierzę, drugi zabrał po kryjomu trochę skondensowanej morskiej wody; obaj starali się utrzymać swoją biedną rodzinę, piękna racja karania...” („Dialogues du baron de Lahontan avec un sauvage”, Haga, 1705). A dalej, dobry dzikus barona de Lahontan wypowiada swoją myśl już bez żadnych obśronek: „Wszystkie niedole ludzkiej społeczności wywodzą się z różnic między twoim i moim”.

Bardzo już jesteśmy blisko zacnego Hurona z Wolterowskiego „Prostaczka”. Ale nim dobry dzikus wystąpił do otwartej walki z porządkiem feudalnym i stał się ulubioną postacią osiemnastowiecznych filozofów, miał już za sobą długą i piękną kartę w historii literatury. Już Montaigne w słynnym rozdziale „O kanibalach” opisywał trzech Brazylijczyków, którzy przybyli do Rouen: „Przed wszystkim bardzo im się zdało dziwne, aby tyłu rosnących ludzi, brodatych, silnych i uzbrojonych, będących dookoła króla (prawdopodobnie mówili o Szwajcarach jego gwardii), go-

dziło się poddawać woli dziecka, i nie wybrało raczej którego spośród siebie, iżby im rozkazywał. Po drugie (mają taki sposób wyrażania, iż nazywają jednych ludzi pól o w a m i drugich), dziw im było patrzeć, że są między nami ludzie syty, zaojczy, i że wszelkiego rodzaju dogodności, a zasię ich p o ł o w y stoją jako żebracy u wrót, wychudzeni z głodu i ubóstwa; owo niesposób im było pojąć, iż te połowy potrzebujące mogą ścierpieć taką niesprawiedliwość: nie chwycą tamtych za gardło, ani nie zażgną ognia w ich domostwach”. I na zakończenie rozdziału dodaje Montaigne z nieporównaną ironią: „Wszystko to brzmiałoby wcale do rzeczy, ale cóż! kiedy nie noszą pludrów”.

Takie są początki kariery literackiej dobrego dzikusa. Podróżnicy, misjonarze i autorzy fantastycznych podróży pokazywali egzotyczne ludy żyjące w stanie naturalnej niewinności, nie znające podziału na „twoje i moje”, szanujące starców, goszczące cudzoziemców, radosne i szczęśliwe. Dobry dzikus nie płacił podatków ani p o g ł o w n e g o, ani podymnego, ani c z o p o w e g o, ani dziesięciny, nie byli brani do wojska, nie mieli księży i zakonów, nie znane im były przywileje urodzenia i majątku. Dobry dzikuski rodzili dzieci bez bólu i własną pierśią karmiły niemowlęta. Dobry dzikus wierzył w Boga, nie znali objawienia i nawet sami o tem nie wiedzieli, że byli deistami. Dobry dzikus był dobry, cnotliwi i szlachetni, żyli w zgodzie z ustawami natury i słuchali głosu rozumu.

Kiedy trzeci stan wystąpił do walki o nowy porządek świata, mit o szczęśliwych wyspach i przyrodzonych prawach człowieka stał się jednym z głównych filozoficznych argumentów udowadniających niezgodność z naturą i rozumem wiewzów feudalnych. Dobry i niewinni dzikus wyobrażali marzenia mieszczaństwa o nowym szczęśliwym społeczeństwie. Zanim mieszczaństwo przybrał kostium Cesara i Brutusa przez przeszło stulecie walczył z porządkiem feudalnym dzida i łukiem amerykańskiego dzikusa. Dobry dzikus staje się wzorem, ideałem i przodkiem mieszczaństwa.

Na wiele lat przed historykami literatury jak Lichtenberger, Lanson, Chinard, Atkinson, którzy odnaleźli obraz dobrego dzikusa w relacjach podróżników, „Listach Budujących”, powieściach fantastycznych i utopijnych, Marks z niezrównaną jasnością odsłonił społeczną i polityczną treść mitu naturalnego człowieka, naturalnego prawa, naturalnej religii. We „Wstępie do krytyki ekonomii politycznej” pisał: „W społeczeństwie wolnej konkurencji jednostka występuje uwolniona od naturalnych więzów, które we wcześniejszych epokach historycznych czyniły ją przynależną do określonego, ograniczonego konglomeratu ludzkiego. Prorokom XVIII wieku... ta jednostka XVIII wieku — produkt z jednej strony rozkładu feudalnych form społecznych, z drugiej zaś rozwijających się od XVI wieku nowych sił wytwórczych, wyda się ideałem, którego istnienie należy do przeszłości. Nie rezultatem historii, lecz jej początkiem. Ponieważ jednostka ta wydała się czymś zgodnym z przyrodą i odpowiadała ich wyobrażeniom o naturze ludzkiej, mniemali oni, że nie powstała ona historycznie, lecz została stworzona przez samą przyrodę. Złudzenie to było dotąd właściwe każdej nowej epoce”.

Dobry dzikus stał się obrazem zacnej, gospodarnej i poczciwej mieszczańskiej rodziny. Mit dobrego dzikusa wyrażał wiarę w przyrodzoną dobroć człowieka, która przechowała się w obyczajach mieszczańskim, był radosnym zachwytem nad własną niewinnością i świeżością uczuć, przeciwstawianą wyrafinowaniu, zepsuciu i zbytkom arystokracji. Mieszczaństwo było dla Russa Jakub stał się bożyszczem jakobinów.

naturalnym człowiekiem. I dlatego Jan W literaturze angielskiej dwa wielkie obrazy naturalnego człowieka stworzyli Defoe i Swift. Anglia była już po rewolucji mieszczańskiej. Dobry dzikus — Piętaszek nie walczył już z feudalizmem, jest bohaterem pozytywnym, pomaga Robinsonowi zakładać w całkowitej zgodzie z przyrodzonymi prawami człowieka kapitalistyczną kolonię. „Robinson Crusoe” był jedyną powieścią, jaką Russo w „Emilu” pozwalał oddać w ręce młodzieży. Swift w „Podróżach Guliwera” stworzył inny obraz naturalnego człowieka. Był nim okrutny, plugawy, rozwiązywał Jahus, półdyk, półczłowiek, używany do najniższych robót w państwie rozumnych koni „Łatwo byłoby oczyścić rodzaj ludzki z uczynionego mu zarzutu — mówi Guliwer do swojego pana, zacnego ogiera — gdyby były świni-

w tym kraju, ale nieszczęściem ani jednej nie było. Być może wprawdzie, że świnią jest łagodniejszym od Jahusa zwierzęciem, ale nikt nie może utrzymywać bez największej niesprawiedliwości, iż jest czystsza od Jahusa. Mój pan nawet przyznałby to niezawodnie, gdyby widział brzydki sposób żywienia się tych zwierząt, ich zwyczaj tarzania się i spania w błocie”.

I nic nie pokazuje jaśniej głębszych związków łączących Swifta z ogromną tradycją humanizmu a jednocześnie ideologicznego prekursorstwa i prawie zupełnego osamotnienia w wieku Oświecenia, jak podjęcie mitu naturalnego człowieka i odarcie go ze wszelkich złudzeń. Człowiek żyjący w stanie natury — pokazuje nam Swift w czwartej i ostatniej podróży Guliwera — jest zwierzęciem gorszym od wszelkich zwierząt, jest zarozumiały, pyszny i chciwy, jest okrutny i tchórzliwy, jest wstrętny, plugawy i wiariolomny. Ten rejestr wad nie ma końca. Ród Jahusów jest najpotworniejszym obrazem człowieka, jaki przekazała nam historia literatury. Nic nam nie zostaje oszczędzone: ani postać ludzka, ani uczucia, ani instynkty.

Motywy wyższości zwierząt nad człowiekiem występowały w literaturze. Już w jednej z opowieści Plutarcha kompani Odysasa, przemienieni przez czarodziejkę Circe w bydła, odmawiają powrotu do ludzkiego kształtu i wybierają zwierzęce życie. W „Ciągu dalszym prawdziwej historii Lukiana”, wydanym przez Perrota d'Ablancourt około roku 1648, i uznanym przez historyków literatury za jedno z najważniejszych źródeł do „Podróży Guliwera”, podróżnik budzący litość i pogardę zwiedza królestwo mądrych, cnotliwych i szlachetnych zwierząt. Wreszcie w racjonalistycznej, libertynskiej i antyfeudalnej powieści fantastycznej Cyrana de Bergerac: „Histoire comique des états et empires du soleil” (1662), znajdujemy podróżnika, który zawędrował do utopijnego królestwa ptaków i którego sąd ptaków skazuje na śmierć za wszystkie nieprawości, jakie popełnili ludzie. Ale wszystko to są tylko przykłady łagodnej i moralnej satyry.

Jahus w „Podróżach Guliwera” jest czymś dużo więcej niż tradycyjną i wygodną alegorią, która pozwala ludzi przemieniać w zwierzęta i każe śmiać się z zarozumiałości osła, chciwości kruka i sprytu lisa. Dla Swifta nie ma żadnej różnicy pomiędzy pierwszym ministrem jego ojczyzny a faworytem naczelnika stada Jahusów, do którego obowiązków należy „obliżywać nogi i tyłek swego pana, jakoteż wpędzać jego samicę do stajni, za co dostaje czasem w nagrodę kawał osłego mięsa”. Dla Swifta młoda samiczka Jahu, która rzuca się na Guliwera w kąpiel

i odpędzona wyje żałośnie na brzegu, nie różni się niczym od panien z fracymeru królowej. Potępiona zostaje nie tylko natura, ale i historia; człowiek cywilizacji jest tylko groźniejszym i bardziej niebezpiecznym Jahusem.

Jest rzeczą niezmiernie ciekawą, że ów straszliwy portret człowieka w stanie natury, który narysował Swift w czwartej części „Podróży Guliwera”, wpłynął na ukształtowanie się poglądów Woltera. Wolter zdawał sobie doskonale sprawę ze wszystkich korzyści, jakie satyryk wydobyc może z postaci „dobrego dzikusa”, kiedy przywozi go do Francji i oprowadza jak marionetkę, każąc mu się zdumiewać nad szaleństwami feudalizmu. Ale Wolter, który był najczystszy ideologiem wielkiej burżuazji, dążącej do reform, a nie do rewolucji, lękał się, aby zbyt poważnie nie wzięto marzeń o powrocie do stanu pierwotnej niewinności. W poemacie „Światowiec” (1736), a potem w „Obronie Światowca” (1737) napisał małą apologię cywilizacji i luksusu, kpiąc sobie z czarującą ironią z obrońców naturalnej szczęśliwości.

O mój ojcie, żartoku, kochany Adamie, coż ty porabiał wśród ogrodów Raju? Dla głupiego pracował ludzkiego rodzaju? Swych pieszczoł nie szczędziłeś Ewie, mojej mamie?

Przyznajcie, żeście mieli tak jedno jak drugie wstrętne pazury, brudem pokryte i długie, na brąz wygarbowaną skórę, pleć szczerbiłą i porządku w czuprynach coś niecoś za mało. Kiedy się nie myć, miłość najbardziej szczęśliwa nie jest miłością, to już potrzeba wstydliva. Niebawem utrudni swą piękną przygodą jedną ziarnka, żołądź, zapiją wodą i śpią na gołej ziemi, gdy się głód usmierzy: pod dębem zasiadają wdzięcznie do wieszczy, tak stan czystej natury polimować należy. (przekład Adolfa Sowińskiego)

To były jeszcze tylko żarty. Ale w dwadzieścia lat później, w epoce pełnej dojrzałości podejmia Wolter raz jeszcze temat „dobrego dzikusa”. Tym razem wpływ Swifta jest o wiele bardziej widoczny. I to Swifta pojętego najgłębiej; tego Swifta, którego my potrafimy odczytać, Swifta — wielkiego humanitarysty. Mit dobrego dzikus spełnił już swoje historyczne zadanie. Walka rozpoczęła się na dobre, maski już nie były potrzebne. I nie chodzi już Wolterowi, tak jak to robił Buffon, o naukową polemikę z apologetami szczęśliwego życia pierwotnego człowieka. Wolter uderza wprost, tak jak Swift uderzał, pokazuje straszliwą postać Jahusa, ale ten Jahus już jest rzeczywisty, jest współczesny, jest nim pańszczyźniany chłop francuski. W „Essai sur les Moeurs” pisze Wolter: „Czy przez dzikusów rozumiecie prostaków, żyjących w lepiankach z całą swoją

JERZY KAMIL WEINTRAUB

PIEŚŃ O SERCU CZŁOWIECZYM

„Wpłynąłem na suchego przestwór oceanu”.

O stępy, których nie widziałem nigdy, jakże was dobrze znam!
Tam wolność, wrosła nad kolebką krzywdy i serce moje tam.

Zegłując w trawę, lódź twa się zanurzy w bezbrzeżność tamtych lat,
a wzrok wytopi liycznyj podróży na zmarzłej ziemi ślad.

Weź ślad ten w rękę, jak wyblakły płatek spalonych wiatrem róż
i nieś przy sercu, biegnąc brzegiem zatok, gdzie schodzi las do mórz.

Weź ślad ten w rękę, wzrokiem tonąc w morzu, nad którym wspomnień dym
dalekie statki w serce twe przewożą z krajin zórz i zim.

A jeśli w mroźną skamienieje bryłę, co nawet wiosną trwa,
wspomnij o wiatrach, które tobie miłe — to będzie siła twa.

Bowiem ten kamień, który czujesz stopą, by własną przetrwać śmierć
w wieczność na sobie wzniesie Sewastopol fortecą wolnych serc.

Popatrz, jak wspiera nieba zachód krwawy trwanie kamiennych baszt,
jak wiatr unoszą ludzi w morze sławy, zatknięty w serce masz.

I moje serce, tropiąc ślad pielgrzyma, unosi wiatr na wachód,
gdy ręce moje bezlistna zima zakuwa w ciężki lód.

Wrót więc z przeszłości, w przyszłość skamieniały, kamienną unieś skroń,
w stępy i nowym towarzyszom chwały braterską podaj dłoń!

I MIESZCZANIE^{*)}

rodziną i paroma zwierzętami, wystawionych nieustannie na wszystkie okrucieństwa pór roku, znających tylko ziemię, która ich karmi i jarmark na który idą czasami sprzedać swoje produkty, aby kupić tam jakieś prymitywne odzienie; mówiących gwarą, której nie rozumieją w miastach; znających niewiele pojęć i wskutek tego niewiele wyrażań; poddanych, sami nie wiedzą dlaczego, pisarczykowi, któremu zanoszą połowę tego, co zebrali w pocie czoła; zbierających się w pewne dni w budynkach podobnych do stodół, aby uczestniczyć w ceremoniach, z których nic nie pojmują, słuchających człowieka ubranego inaczej niż oni, którego nie rozumieją; opuszczających swoje domostwa, kiedy bije bęben i przysięgających, że dadzą się zabić na obcej ziemi i będą zabijać sobie podobnych za czwartą część tego, co mogliby zarobić pracując? Ci dzikusy są w całej Europie. I trzeba przyznać, że ludy Kanady i Kalfornii, których nam się spodobało nazywać dzikimi, stoją nieskończenie wyżej od naszych dzikusów. Huron, Algonkwini, Illińczyk, Kafr, Hotentot znają sztukę fabrykowania wstęgi, co im potrzebne, a sztuki tej brak jest naszym wsiakom. Plemiona Ameryki i Afryki są wolne, a nasi dzikusy nie znają nawet idei wolności.

Wielkie książki przynoszą całe doświadczenie wieku. Swift pokazuje człowiekowi straszliwą brzydotę jego ciała i podłość jego duszy. Zohydza nawet jego marzenia o nieśmiertelności. Swift nie jest mieszczańskim moralistą i nie wierzy w reformy. Swift gardzi człowiekiem, ponieważ wątpił w jego wywołanie. Ale ten wściekły pamflet na naturę ludzką jest jednocześnie nabrzmiały historią. Swift z tym samym szlachetnym gniewem, który porwał Woltera, oskarża ustrój, system, panującą klasę. Jest w „Podróżach Gulliwera” niezwykła jasność spojrzenia, pełna i rzeczywista wiedza o prawdziwych przyczynach doli ludzkiej.

„Kiedy kto ma wiele pieniędzy — opowiada Gulliver o swoim kraju mądrym koniowi — naówczas może mieć piękne odzienie, piękne domy, piękne dobra, wysmienite stoly i do wyboru swego wszystkie najpiękniejsze kobiety. Z tej przyczyny nigdy nie możemy mieć dosyć pieniędzy, a im więcej ich mamy, tym więcej byśmy ich chcieli gromadzić. Bogaty próżniak żyje z pracy ubogiego, który poci się od rana do wieczora, nie mając jednego momentu odpoczynku. Masa naszego ludu przymuszona jest pracować co dzień za nędzną zapłatą, aby kilku w największym zbytku żyć mogło...”

I dalej, jakby w jakimś genialnym skrócie ukazana zostaje sprzeczność pomiędzy

społecznym sposobem wytwarzania a indywidualnym zawłaszczaniem produktu pracy. „Lud ubogi utrzymuje się dostarczając bogatym wszystkie rzeczy, których oni potrzebują. Naprzykład gdy jestem w moim kraju, odzieję się jak należy, noszę na sobie dzieło stu rzemieślników. Tysiąc rąk musi się przykładać do wybudowania i przyozdobienia mego domu, a jeszcze pięć lub sześć razy więcej potrzeba do ubrania mej żony”.

Porywająca jest odwaga Swifta. Jego piekielny nonkonformizm nie cofa się przed obnażaniem żadnego ze złudzeń. Pod jego nieubłaganym spojrzeniem odpada wszystko, co jest maską, ideologicznym przebraniem, kostiumem filozoficznym. Zostaje naga treść rzeczy. Oto jak dziekan kościoła Św. Patryka w Dublinie pisze o sporach religijnych: „Rozmaitość poglądów pozbawiła życia miliony ludzi. Jeden na przykład mniema, że ciało jest chlebem, drugi, że chleb ciałem, jeden, że sok pewnego owocu jest krwią, drugi, że winem, jednemu się zdaje, że gwizdać jest czynkiem dobrym, drugiemu, że jest zbrodnią, jeden pragnie całować kawałek drzewa, drugi wrzucić go w ogień”.

Nic nie wyodrębniła bardziej Swifta od plebejskich ruchów rewolucyjnych jak ten zimny racjonalizm i brak jakiegokolwiek entuzjazmu religijnego. Swift należy do pełni do XVIII wieku. Miał już czas, kiedy społeczna krytyka doli ludzkiej przemawiała językiem Starego Testamentu. Swift krytykę ustroju formułuje w czystym języku polityki, w języku ideologii. Był on przeciw pierwszym publicystom torysów. Pamflet jest w tej epoce szkołą stylu. Swift, na ile lat przed Stendhałem, potrafił w niewielu zdaniach, z nieomylną celnością pokazać rolę i miejsce chrześcijaństwa w mieszczańskim społeczeństwie, związki łączące kościół i giełdę, moralność i interesy. W pamflecie „Argument przeciwko zniesieniu chrześcijaństwa” (1711), pisał Swift z morderczą ironią:

„Spodziewam się, że nikt z czytelników nie uzna mnie za tak pozbawionego rozumu, abym chciał bronić rzeczywistego chrześcijaństwa, które w czasach prymitywnych (jeżeli możemy wierzyć pisarzom tych wieków) miało pewien wpływ na wiarę i czyn ludzkie. Próby jego przywrócenia byłyby zaiste szaleńcym pomysłem, jednym zamachem zniszczone by wtedy wszystkie dowcip i połowę wiedzy Królestwa, zburzone porządek rzeczy, zrujnowano handel, wymieciono sztuki i nauki razem z ich nauczycielami, jednym słowem zamieniono by nasze dwory, sklepy i giełdy w pustynię... Czytelnik dobrej wiary pojmie z łatwością, że rozprawa moja nie ma innego celu poza obroną chrześcijań-

stwa nominalnego; pierwsze dawno zostało odrzucone za powszechną zgodą, jako nie dające się pogodzić z naszym rozumieniem bogactwa i władzy... Należało by się lękać, że w sześć miesięcy po akcie Parlamentu nakazującym odrzucenie Ewangelii, fundusze Banku i Indii Wschodnich spadną co najmniej w stosunku 1 do 100. A skoro jest to pięćdziesiąt razy więcej, niż roztropność naszego wieku uznała za stosowne żaryzykować dla ocalenia chrześcijaństwa, nie ma dostatecznej przyczyny narażać się na tak wielką stratę dla samej przyjemności jego zniszczenia”.

„Podróż Gulliwera” przy całej swej oryginalności i niepowtarzalności są jak gdyby ogromną antologią najwyższych osiągnięć humanizmu i racjonalistycznej krytyki społeczeństwa. Odnajdziemy na ich kartach zuchwały śmiech Rabelaisa, namiętne poszukiwanie prawdy Erazma, metodę i krytycyzm Kartezjusza, nieubłagany sceptycyzm Bayle'a, echa wielkich utopii Morusa i Campanelli i fantastycznych podróży libertynów francuskich jak Cyrano de Bergerac, Denis Vairasse czy Tyssot de Patot. Ale u Swifta wielka tradycja postępu zaprzecza jak gdyby samej sobie; Swift w imię całego intelektualnego doświadczenia wieku Oświecenia burzy i niszczy po kolei, jeden za drugim, wszystkie ideały Oświecenia. Wyszczony już został mit króla filozofa na tronie i mit dobrego dzikusia, potępiony został człowiek cywilizacji i człowiek natury, pozostał nam jeszcze do przeczytania rozdział ostatni: krytyka nauki i postępu. Wielki humanista staje się trybunem ciemnych i zacofanych chłopskich mas Irlandii.

W trzeciej podróży, która napisana została najpóźniej, Gulliver dostaje się na latającą w powietrzu wyspę Laputę. Pomysł jest zaczerpnięty z „Prawdziwej historii Lukiana”. Ale fantazję Lukiana przetwarza Swift w ten sam sposób jak przed tym radosne żarty Rabelaisa. Nadaje jej zgodnie z upodobaniami wieku naukowe pozory i zarazem przemienia w bezwzględna, drapieżna, konkretną polityczną satyrę. Tym razem satyra ta, jak gdyby w jakimś jasnowidztwie, wyrasta ponad swój wiek i dla nas dopiero staje się w pełni rzeczywistym i dramatycznym obrazem. Podziwiamy Swifta. Oto w jaki sposób król latającej po powietrzu wyspy poskramia bunt swoich poddanych na ziemi:

„Jeżeli które miasto zbuntuje się lub nie chce płacić podatków, król ma dwa sposoby poskromienia. Pierwszym i pomiar-kowańszym jest zatrzymanie wyspy nad miastem zbuntowanym i jego okolica, przez co kraj pozbawiony zostaje słońca i rosy, co mieszkańcom o chorobie i śmierć przysparza. Jeżeli zbrodnia mieszkańców na surowszą karę zasługuje, król każe ze swej wyspy rzucić na nich kamienie wielkie, przed którymi muszą kryć się w lochach i piwnicach, a domy ich zostają potłuczone i zburzone. Jeżeli na koniec trwają w swojej zaciętości i rokoszy, naówczas król używa ostatniego środka, każe opuścić na nich z góry wyspę i tym sposobem całe miasto i wszyscy mieszkańcy zgruchotani zostają”.

Na wyspie Laputa dwór i wielcy panowie zajmują się wyłącznie matematyką i fizyką. Teraz uderza Swift w same fundamenty Oświecenia, w kult wiedzy i postępu. Sztydzi z uczonych w imię zdrowego rozsądku i społecznego pożytku. Widzi w nich szarlatanów i szaleńców, którzy zamiast służyć potrzebom życia, ścigają własne majaki. „U nich — pisze o Lapucjanach — matematyk jest dla głębokiego myślenia, a nie dla publicznego dobra. Przepisy, które dają rzemieślnikom są zbyt zawiłe i niezrozumiałe, aby mogły być dokładnie wykonywane. Stąd pochodzą niezliczone błędy, lubo w używaniu linii, ołówka i cyrki są bardzo biegli. Nie widziałem nigdy narodu tak durnego, tak głupiego, tak nieroztropnego we wszystkich czynnościach zwyczajnych poza matematyką i fizyką”.

Drwiny ze średniowiecznej pedanterii, ze scholastycznych formuł z medycznej wiedzy, ograniczonej do puszczenia krwi i stosowania lewatywy przejął Swift od wielkich pisarzy Renesansu. Ale oni sztydziłi z głupoty z nieuctwa, z ciemnoty. Swift kpi sobie tymczasem wręcz z „Royal Society” i niemal palcem wskazuje na Newtona. Ośmiesza postępek i wynalazki w przeddzień epoki wielkich wynalazków i technicznego postępu, które zmieniły obraz świata. Dla Swifta słowo postęp oznacza już tylko postęp burżuazyjny, za nowymi wynalazkami widzi zrujnowane warsztaty, wypędzonych tkaczy, wsie ogo-

łoczone z mieszkańciami, głód, wyzysk i przemoc.

Wielki humanista staje wobec nowych doświadczeń i przemian. Za nim są ciemne masy Irlandii, przed nim tryumfujący angielski kapitalizm.

„Profesorowie — pisze o Akademii w kraju Balmibarów — powynajdywali nowe sposoby rolnictwa i budowl, nowe narzędzia do wszystkich rzemiosł i manufaktur, którymi jeden człowiek może tyle zrobić, co przed tym dziesięciu; pałac ma być zbudowany w jednym tygodniu z materiałów tak mocnych, iżby trwał wieczyście, nie potrzebując żadnej reperacji. Wszystkie owoce ziemne powinny rodzić się w każdej porze roku. Sto razy większe niż teraz i inne podobne zbawienne projekta. Szkoda że żaden z tych projektów nie został udoskonalony, że w krótkim czasie wszystkie wsie opustoszały, że po większej części domy się wala, że lud wyzysk umiera z zimna, pragnienia i głodu”.

Swift rysuje nam się na tle optymistycznej literatury angielskiego Oświecenia jak samotny, ponury i groźny szczyt wśród zalanych słońcem, łatwo dostępnych i uprawnych pagórków. Jest wielkość w tej pierwszej krytyce kapitalizmu, dokonanej w imię całego humanistycznego dziedzictwa. Jest rzeczywisty historyczny tragizm, tragizm prekursora, który pierwszy, z taką siłą i pasją pokazał wewnętrzne sprzeczności rozzdzierające epokę i nie dostrzegł, nie mógł dostrzec ani w Anglii, ani w Irlandii społecznego ruchu, który przejmie walkę o wolność i szczęście człowieka. Swift potępił historię i człowieka w imię owego osiemnastowiecznego, abstrakcyjnego rozumu, który stał ponad historią. Swift rozum ten oderwał od natury ludzkiej i przeciwstawił ludzkiej naturze. Tak dokonany został jeden z pierwszych wyłomów w fundamentalnej tezie Oświecenia, która rozum przypisała naturze i naturę ludzką uznała za rozumną.

Swift musiał się cofnąć. Coraz więcej głębokich sprzeczności narasta w „Podróżach Gulliwera”. Swift musiał szukać ucieczki w utopii. Ale utopia jego ma tylko pozorne charakter racjonalistyczny. Czymżeż jest bowiem państwo dobrych koni, uprawiających owies przy pomocy sług i niewolników, gdzie niezmiennie są prawa, obyczaje i zwyczaje, gdzie niezmiennie jest nawet sztuka pisma, jak nie idealizacją patriarchalnych stosunków. Swift wyprzedza Malthusa, każe swoim zacnym koniom ograniczać rozrodczość, tak bardzo lęka się wszelkiej przemiany. Ale nawet tej swojej patriarchalnej utopii Swift nie potrafił nadać kształtów ludzkich. Rzenie koni przeciwstawione jest ludzkiej historii.

Takie są cztery podróże Gulliwera. Ale w zakończeniu tej książki Swift raz jeszcze pokazuje historyczne racje swojej nienawiści. Tym razem niepotrzebni mu są ani Lillipuci, ani wielkoludy, ani zające konie i latające wyspy. Mówi jasno, po prostu, bez żadnych przypowieści. Mówi o kolonialnym systemie:

„Kupę jaką rozbójników morskich pędzi nawalność nie wiedzieć dokąd. Postrzegają z góry okręt jakąś ziemię, natychmiast udają się w tę stronę, przybijają do lądu, widzą bezbronny naród, który ich przyjmuje z ludzkością. Zaraz nadają mu nowe nazwisko, imieniem swego króla obejmują nad nim panowanie, stawiają zgniałą deskę lub kamień na pamiętkę, która by ten piękny postępek przypominała potomności. Potem biorą się do zabijania jakichś dwunastu lub dwudziestu czterech Indianów, kilku z nich biorą ze sobą gwałtem, wracają do domu i dostają przebaczenie. Oto jest właśnie akt obiecia w posesję imieniem prawa boskiego. Wkrótce wysyłają inne okręty do tegoż kraju dla wygubienia większej części narodu, biorą na tortury znaczniejszych, aby im wydali swoje skarby, wyrządzają najokrutniejsze czynności, napawają ziemię krwią nie-szczęśliwego ludu. Na koniec obrzydła kupa katów, użyta do tej pobożnej wyprawy, staje się osadą wysłaną do barbarzyńskiego i bałwochwalczego kraju, aby go nawróciła i wypolerowała”.

Wielkie książki klasyków, jeżeli potępią człowieka, czynią to zawsze w obronie człowieka. Jeżeli potępiają historię, pokazują zarazem jej rzeczywisty patos; historyczne przyczyny nędzy i doli ludzkiej. Przynoszą całość społecznego doświadczenia wieku. Ich pesymizm nie odbiera ludzkiego sensu historii. Taką jest szkoła klasyków. Taką książką są „Podróż Gulliwera”.

Jan Kott

LENINGRAD

Kołysała kołyska Newy
me dzieciństwo jak zmarszczoną fałę,
Nocą ostre dymiały śpiewy
rzeźbiąc świty, jak przyszłość w kryształach.

Nad zatoki oczu, nim zaśnię,
kiedy księżyc dzwonem snu uderza,
zlatywały trwogi, jak baśnie,
szumiąc czarnym skrzydłem nietoperza.

Wiatr poranny cicho rozpylał
sen, jak rosę u sklejonych powiek,
serce drżało skrzydłem motyla
i kwiliło jak zbudzony słowik.

W tafli oczu, w dzieciennym mieście
przeglądały się rzęsy, jak rzeźby.
Czym mógł wiedzieć wtedy, że życie
krok zdobywców w horyzontach rzeźbił?

Ze jesienią, wiatrem zasnuta,
październikiem nieboskłon rumieniąc,
krok zdobywców wszędzie, jak dłuto
rzeźbiąc drogę przyszłym pokoleniom.

Jakżem blisko — wspomnieniem. Październik
lśniącym sierpem liście drzew podcina.
Miasto chwały wiedzy, jak sternik
mauzoleum kamienne Lenina.

Kołysała kołyska Newy
me dzieciństwo, jak tałą zmarszczoną.
Ostrzej dymiały zdobywców śpiewy.
Mocniej serca w młodych piersiach płoną.

13 lutego 1941.

*) Wstęp do „Podróży Gulliwera” (III)



Jan Papuga laureat nagrody literackiej miasta Szczecina za r. 1948

JAN PAPUGA

K O Ł A

Antkowi Koli

ciężkiego rejsu, wiedział, że zaczyna się zdziierać. Znow uśmiechnął się i odszedł od nawiewnika. Otworzył drzwi: od maszynowni wtargnął stukot tłoków i suwnic. Spojrzył na zegar, poczem zamknął drzwi. Za pięć minut zmieni go następna wachta. Lipka już nie było, pozostały po nim tylko kupy natremowanego węgla. Dziezgała przy drugim kotle kończył czyścić palenisko, teraz pospiesznie ją podsympywał. Z góry słychać było odgłosy schodzącej wachty. Po chwili trzech ludzi stoczyło się na samo dno. Jeden z nich wysoki i żyłasty zatrzymał się i wrzasnął ucieszenie:

— Co Kola, płyniemy jeszcze?

— Jak na świątecznej majówce — odpowiedział niskim głosem.

Pozostali parsknęli śmiechem.

Podszedł do drabiny i zaczął leżeć w górę. Wesoło za nim zadzierali głowy. Wysocki, żyłasty palacz teraz dopiero rzucił okiem na manometr i rurkę z wodą. Nie robił tego przy nim, nie chciał go urazić, znając jego obowiązkowość. Kola tymczasem powoli dźwigał swoje ogromne ciało w górę; ciążyło mu jak nigdy przed tym. Człuch kotlewni była głęboka. Po wyjściu przystanął na pokładzie, by odsapnąć. Owiał go mocny i chłodny wiatr, chociaż na tej szerokości Atlantyku była ciepła jesień. Powietrze było dużo, zadyszka i dławienie w piersiach jednak nie ustępowała. Była ciepła noc. Statek z następnej kolumny szedł blisko. Przez chwilę patrzył się na jego cień, potem powoli ruszył na rufę. Obejrzał się jeszcze kilka razy. Daleko z dziobu szybko mrugał światłem jakiś okręt z osłony. Wydało mu się to dziwne, poco to robi, łódź może zobaczyć. — Kiedy miał już wchodzić w nadbudówkę, rufa zatańczyła, obsunęła się i ugrzeźła między pagórami. Z przeciwnej burty zabieliły się wypryski i woda z sykiem leciała po pokładzie. Szybko skoczył i szarpnął za sobą drzwi.

W messie Lipke już się pożywał. Widząc Kola podsunął mu herbatę, imbryk z warem i półmisek z mięsem. Lubił to robić dla niego, sam był przecież dopiero początkującym węglarzem, a Kola już starym wygą, który pod niejednym kotłem palił. Z radością przyglądał się, jak smarował chleb masłem, krajał zimne mięso i jadł powoli z jakimś namysłem. Wszedł szybko Dziezgała. Już od drzwi zawołał:

— Zostawcie i dla mnie.

— To nie dobrze jeść przed snaniem — odpowiedział Kola.

Lipek zaśmiał się. Dziezgała usiadł naprzeciw nich, miał kwadratową ruchliwą twarz, jadł szybko, wszystko robił szybko. W paleniu tylko nie mógł nadażyć za Kola, choć ten zdawał się być powolnym, zato każdy jego ruch był bardzo celowy, przemyślany w ciągu prawie 20-letniej pracy. Jedli w milczeniu, w głębi śruba z chrzęstem i szumem ciepła wody; Rufa nagle osunęła się w dół i pochyliła na burcie. Lipek przytrzymał cukier, Dziezgała imbryk z warem.

— Toczy się jak żydowska resorka po kocich łbach — zawołał Dziezgała. — Ale palenie teraz lepsze, co? — wykrzyknął.

— Przecież była rewizja kotłów — po chwili odpowiedział Kola. Dla niego jednak — pomyślał — palenie nie było źlejsze.

Ta ucinająca rozmowę odpowiedź nie podobała się Lipkowi.

— Rurki ze ściany sitowej by nie wytrzymały, a kamienia ile było w kotłach, mostki nadmurwane — mądrzył się.

— Wielki czas, dwa rejsy temu mieliśmy już je mieć. Jeżdża teraz statkami jak ślepymi końmi, potrzebna jest amunicja.

Lipek patrzył na Kola, spodziewał się, że coś powie. Nie doczekał się jednak. Kola był dziwnie ponury i jakby zaprzętnięty tylko jedzeniem.

Diezgała dopił szybko herbaty i bez słowa wyszedł. Spieszyło mu się w koję, by przed snem poczytać „Kapitał” Marksa. Ciężko mu było z angielskim, ale wytrwale porała się z pomocą słownika.

Lipek jeszcze wpatrywał się w Kola; wydawało mu się niezwyczajnie, że taki olbrzym, może wyglądać jak każdy z nich. Lubił go i chciał go koniecznie wytrącić z bezwładu.

— Co się smucisz, Kola, za sześć dni Filadelfia,

— Daj spokój, Lipek, idź spać — odburknął.

Lipek popatrzał na niego przez chwilę i wyszedł jak grzeczny chłopiec.

Kola skończył jeść, potem podparł głowę i trwał w zadumie. Jego olbrzymie, do pasa nagie ciało, było zgięte, złamane. Otrząsnął się, wyjął z tylnej kieszeni dunkrów olówek i starannie złożony zeszyt; rozłożył go na stole. Wpatrywał się w jeden punkt na ścianie nie widząc go, znow pochylił głowę nad papierem i zaczął pisać. W korytarzu słychać było kroki, otworzyły się drzwi; nie podniósł głowy aż się zamknęły. To marynarz patrzył na niego i poszedł do swojej messy z dziwnym oznajmieniem:

— Wiecie co, Kola pisze, zbikował do reszty, już cały poprzedni rejs z nikim nie gada.

— Nie bój się, nie jest taki głupi, ma swój chłopski rozsadek.

W tym czasie Kola pisał: „największą tchórze i najbardziej ułomni fizycznie urządzają wojny, obliczając w swoich zacisznych gabinetach, że ich dywidendy się kurczą. Inni ich bronią. Obie strony posługują się takimi idiotami, jak ja, ofiarują nam bohaterską śmierć. Co za ohyda. Największy czas, by kandydaci na bohaterów, zbuntowali się i rozgonili tę zdechłakowatą bandę. Póki będą tacy głupcy jak ja, będą i wojny”. Znow podniósł głowę. Powodem tych myśli był Dziezgała, który zawsze każdemu rad tłumaczył dziwne mądrości z przeczytanych książek. Uśmiechnął się. U tych bogaczy hodowały się najpiękniejsze kobiety, zawsze ich pożądał, były piękne, jak kwiaty i rosły jak lanie, nie podlegały degeneracji jak ich meski ród. Niskie czło chmurzyło się z wysiłku, pod nim z wielkim trudem korytarza się myśli jak u pierwotnego człowieka. Małe oczy przekrwione od pyłu węglowego, twardniały i miękły wędrując za myślą. Tuż pod nimi wystawały kości policzkowe; nadawały jego twarzy najistotniejszy charakter: się i jakby nieodłączną dzikość, silnie tkwiącą w instynktach. Z tym znow kłócił się kształtny nos, usta i koniec masywnej szczęki — miękko zaokrąglony podbródek. Myślał teraz o swoich 20 latach pracy tytana. Ile to ty sięcy ton węgla przerzucił jego ręce i ile wchłonał go w pyłe w siebie; myślał o swoim zdartym sercu i tragicznym losie. Pisał krótkie uwagi, notował swoje myśli, przychodziło mu to z trudem daleko większym niż praca w kotlewni. W końcu zmęczony, troskliwie wziął zeszyt w rękę i szedł w dół, do kabiny.

Ciepły prysznic siekl przyjemnie po grzbiecie. Zamruczał z zadowolenia i prał szwajstak, potem mydlił go i zmywał nim całe ciało aż nabrało czystego, smagłego odcienia. Takimi Grecy wyobrażali sobie swoich bogów na Olimpie. To ogromne ciało było jego pięknem i siłą, czyniąc z niego najlepszego palacza, jaki kiedykolwiek był. Więcej niż śmierci bał się czasu; niekiedy widział siebie o kiju, słabego jak niemowlę, zdanego na pomoc innych. Trudno go sobie było wyobrazić w takim stanie. Wytarł się ręcznikiem, wsunął stopy w łapcie i poszedł do kabiny. Włożył welnianą bieliznę, podłożył pod poduszkę pas korkowy, zgasił światło i legł w koję. Lipek w górnej już chrapał. Rozprostował się i odetchnął głęboko, serce mu teraz nie dokuczało. Myślał o nim, dawało tylko znać o sobie, kiedy przeciążał je pracą. Można sobie i z nim radzić — myślał — trzeba by pieczołowicie pielegnować. Wtedy musiałby zejść ze statku. Przez kilka miesięcy dala by trochę zasiłku, a co potem? — Nie umiał nic innego zrobić, poza tym, by dobrze utrzymywać parę w kotle. Gdzieś z daleka, z czarnej nocy, odbiła się słabo o burty cała seria bomb głębinowych. „Znow beczka śmiechu, dawno już nie było ich słychać”, — pomyślał — „od dwóch dni”. Znow myślał o swoim sercu. Można przecież pracować na lądzie. Nie zastanawiał się nad tym nigdy. On, który nie bał się pracować na morzu, bał się na lądzie. Ludzie są ci sami, a jak różni. Człowiek wobec nich obojętne. Można żyć samotnie; wtedy go wezmą za dziwaka i nie będzie ani psiej wachty, ani uroczystej ciszy bez jednej zmarszczki za złotym słonce na lazurze. Błogiego wylegiwania się na czystym brezencie ostatniego luku Nie będzie aksamitnej nocy gwiazdowej, w której nie potrzeba myśleć i jest się szczęśliwym. Nie chce pracy na lądzie w Anglii, w tym

mrowiu ludzkim, gdzie wszystko jest skanalizowane i porznięte ręką ludzką. Za duży tłok. Znow pojedyncze odgłosy bomb, tym razem bliżej. Przymknął oczy, szum wody za burtą, jednostajne mielenie śruby przypominające mu sieczkarnię na wsi, okrywały go snem.

Uczuł szarpnięcie za ramię. Otworzył oczy.

— Co, co, czas? — zapytał przytomnie.

— Czas — odpowiedział pełniący wachtę umorusany węglarz i wyszedł.

Naciągnął spodnie. Po sześciu godzinach nocnego snu zapomniał o swoim sercu. Spojrzył na górna koję: jasnowłosa głowa przylegała do poduszki. Ten dzieciuch zawsze musiał odleżeć ostatnie sekundy.

— Wstawaj, Lipek! — zawołał.

Lipek podniósł głowę. Miał zaróżowioną twarz; widząc Kola już w spodniach zapytał:

— Co, już czas?

— A jak ty żeś myślał! — odpowiedział żartobliwie.

Lipek skoczył wprost na podłogę i obaj ubierali się szybko. Nie trwało to dłużej niż u marynarzy z pokładu, kiedy szli na zimowe wachty. W kotlewni było zawsze gorąco. Z kabiny pierwszj wyszedł Kola, za nim Lipek. W messie przy drzwiach pozruchali swoje korki, rękawice i wzięli się do jedzenia. Po chwili wszedł Dziezgała; był niewyspany od czytania swojej trudnej książki. Doszły ich detonacje z prawej strony konwoju.

— Zaczyna się! — szepnął Dziezgała, nie przerywając jedzenia.

— Marynarze mówią, że mamy dobrą osłonę okrętów wojennych, — wtrącił Lipek.

— Co, Lipek, masz pannę w Filadelfii? — żartował Kola.

— No, pewno — odpowiedział Lipek.

Roześmieli się wszyscy. Nadchodził czas ich wachty. Wyjęli papierosy, pociągnęli kilka razy, wzięli swoje pasy i wyszli z messy.

Na pokładzie była zupełna śma, czarniejsza niż wieczorem. Nie błyskał światłem żaden okręt z osłony, nie było widać, nawet statków z pobliskiej kolumny. Wiatr nie jeżał już wysoko na olinowaniach i białe grzywy nie wdzierały się na pokład. Pierwszj wszedł Kola, za nim Dziezgała i Lipek, jeden za drugim. Przed wejściem do kotlewni Lipek pozostał i poszedł sprawdzić czy nawiewniki dobrze tapia wiatr. W dole przywitała ich radośnie stara wachta.

— Jedziemy jeszcze — zawołał Kola silnym głosem.

— Jedziemy aż huczy — odpowiedział stary, niski, gruby palacz.

— Ze huczy to my słyszeliśmy i na rufie.

Parsknęli śmiechem.

— Sztuczny ciąg włączony — śmiał się stary, — trafił się miał.

Kola spojrzął na manometr i sprawdził wodę, Rzucił okiem na kotlewnię: węgiel natremowany, pod paleniskiem czysto. Jego wachta była zawsze dobrze zdana; dobrze też odbierał. Tak było zawsze w każdej kotlewni, na każdym statku, na którym on był. Znow o burty odbiły się eksplozje.

— No, to jedźcie — zawołał stary i wraz ze swoją wachtą szybko szedł w górę. Mielł przy tem wesołe miny, cieszyli się, że idą na wieżach; nie widać było nawet na nich końskiego zmęczenia po czterech godzinach harówki.

Kola zajrzał do palenisk, płomień już obejmował miał. Wyłączył sztuczny ciąg i zapalił papierosa. Z maszynj wszedł maszynista z ich wachty, przeszedł się po kotlewni w swoim jasnym, czystym kombinie i wyszedł. Kola skończył papierosa, wziął się do podsyпки, Dziezgała także. Z otwartych palenisk buchał żar, czasami dźwięcznie o węgiel zadzwoniła łopata. Kola pamiętał o swym sercu. Jego praca była teraz najpiękniejsza na jaką kiedykolwiek się zdobył: ani jednego ruchu zbyt czystego, łagodnie, jak z kobietą, nawet przy trzecim palenisku pamiętał by się nie poddawać radosnemu żywiołowemu wysiłkowi i nie rwać. Odstawił łopatę i podszedł pod nawiewnik tyknąć świeżego powietrza. Serce nie cisnęło — jaka radość. Z góry zszedł wprost do niego Lipek z imbrykiem. Wziął go z jego rak bezmyślnie jak brał tyle razy, wylał płyn na przykrętkę, popatrzył i wlał spowrotem.

— Kawa, nie, nie chce, to złe na serce — zaśmiał się.

— Ale słaba, prawie woda — nalegał Lipek, który wiedział, jak to dobrze wypić kilka łyków po podsyponce.

— Ech, nie chce kawę, wiesz co Lipek, przynieś mi wody z cytryną, zrób to dla mnie — Nie mówił Lipkowi o swym sercu. Ci szorstwe ludzie odwracają się od słabych, a cenią tylko siłę.

Ostatnie słowa podcięty Lipka radośnie: już drapał się do góry. Kochał tego olbrzyma za jego siłę i łagodność.

Kola myślał: serce nie cisnęło. Ale czy tak zawsze można lekko pracować? Jak przyjdzie duża fala, że węgiel ucieka spod szufli i z trudem można rzucić w palenisko, by nie dostać nim po łbie, jak nogami trzeba się weprzeć w stalowe płyty podłogi by się nie zwałić. A zły węgiel, który nie daje pary i zlewa się w szlache, że trzeba ciągle czyścić paleniska? Nie, to przedwczesna radość, skończył się jako palacz. Statek musi iść, statek nie uznaje katek. On katek? — szerzej otworzył oczy ze zdziwienia, potem zaśmiał się. Tak, katek, pokiwał sobie w końcu poważnie głową. Lipiek przyłapał z imbrikiem.

— Skąd wziął? — zaśmiał się Kola.

— Od marynarzy — odpowiedział Lipiek z uśmiechem i poszedł szybko garnąć węgiel pod paleniska.

Wychylił dwie pokrywki cierpkiego płynu. Wydał mu się lepszy od kawy. Stawał się starannym kuracjuszem. Po ostatniej rewizji kotły dobrze trzymały parę. Robota składna jak przy paleniu ropy, ale czy tak będzie zawsze? — Dziezgała już podsypany. Przez stukot węgla i dzwonienie łopaty doszły wybuchy, dobrze je było słychać na burtach jak na wielkim bebnie. Sypał i nadłuchiwał. Przy ostatnim pełnisku poczuł małe dławienie w piersi. Nie dosłyszał teraz dalszych wybuchów, zasłuchany we własne serce; potem pod nawiewnikiem jak ryba tykał powietrze. Usiadł na wielkiej brwle węgla odkrytej workiem od cukru. Przypomniła mu się „Polonia”, woźnica Żydów z Konstancy do Palestyny; na niej był oberem. Zawsze pierwszy wyczuwał łopata podsypaną, rytmicznie i dźwięcznie. Jego ta katoga nie cisnęła, była za słaba, jakże młody był wtedy. Zbił się do paleniska, prostowali krzyże pod koniec wachty, by wytrwać. Raz szczególnie była ciężka wachta. Jednego węglarza bez zucia wyciągnęli na wierzch w kuble od ciągnięcia szlaki. Po skończeniu ostatkiem sił wleźli na pokład paleniska. Wszyscy leżeli na luku zżalając i mokrzy od potu jak psy. Cały zły potem przechadzał się, palił papierosa, żartował wisielczo i kłął stare pudło, by raz wreszcie utonęło ze starości i więcej nie męczyło ludzi. Wtedy nawiązał się jakiś wędrując w ścisłki Amerykanin, impresario sportowy w wielkim stylu. Duższą chwilę przegadał mu się jak znawca koni, potem kiedy zobaczył leżących pokotem, patrzył na niego jak na kopalnie złota. Jedno go odredził, taki był natarczywy. Tylko miał podpisać kontrakt, że zumeści się oddać jego opiece na dwa lata. Pierwszy rok to zaprawa a drugi — barowanie. Chciał z niego zrobić konia, przyprowadzić głowę osła, razem: business. Uśmieł się wtedy serdecznie, miał być jak specjalnie hodowana mała na pokaz. Kola kochał jednak swoją godność pół-niewolnika, jak Spartakus Nienawidził bogatych, a ten chciał z niego zrobić całego niewolnika. Bunt w nim ciągle tlił, mógłby wleźć z kotłowni by zagrać z nimi po banku. Dziezgała mówił, że z nimi tylko tak można wygrać, zabierając im wszystko. Sięgnął no imbręk i przełknął kilka tyków. W opielnikach było ciemno. Spod burty wziął draż żelazny, z kołosem wystawion pionowo i podważał ruszt, aż słyszał się drobny żar i znów zalaśniały opielniki. Potem podsypan. Zmęczenie rosło. Siedząc wycierał pot z twarzy Lipiek skończył garnąć, usiadł naprzeciw niego na węglu i wpatrywał się. W takim stanie nie widział go jeszcze niedw: Kola sapał i krótko oddychał w jakimś podnieceniu.

— Co Kola, ciężko się pali? — zagałdzał.

— Ech, palenie dobre, tylko jakoś źle się czuje.

— Daj mi podsypanać, wiesz, że trafię w palenisko i nie bój się, nie nasypię na jedną kupę.

— Ech, nie jest tak źle, narazie obejdzie się.

W milczeniu siedzieli naprzeciw siebie Lipiek rozumiał tego olbrzyma. Wstydził się, by nie dowiedzieli się inni palacze i nie mówili, że Kola odpada — śmiełoby się wtedy, że nawet taki Kola nie wytrzymał, a oni potrafią. Dotychczas zadziwiał ich i był dla nich niepojęty, jak żywił. Nie tylko dla nich. Doskonale przecież pamięta White Eagle Club w Londynie. Kiedy przechodzili przez środek sali do wolnego stolika, wszystkie oczy przwarły do Kola. Elegancy panowie starali się mieć miny obojętne. Panie jednak odwracały głowy, ich twarzyczki były bojaźliwie wstrząśnięte. Kiedy spowrotem zwracały je do swego towarzystwa miały przymrużone oczy. Otwierały je, uśmiechały się, jakoś inaczej patrzyły teraz na swych wy-

muskanych partnerów. W jednej chwili zleciał z nich nimb męskości tak starannie utrzymywany przez krawców i fryzjerów. Mężczyźni czuli się dotknięci jak małe pieski. Ta zgrubsza ciosana bryła dławiała ich swoją wielkoduszością i łagodnością, jakiej nie miał żaden z nich. Panie były pełne niepokoju, dyskretnie spoglądały kącikami przymrużonych oczu. Lipiek solidnie się wtedy ubawił, cały trząsł się od wewnętrznego śmiechu. Kola zamówił podwójne dziny i piwa. Lipiek śmiał się dalej. Jak to mogło być? Takie delikatne, pełne wyrafinowanej kultury, których dionie nie były do pracy, lecz starannie pielęgnowane do pieszczoty? — Kola podsunął mu dzin swoją spracowaną dłonią z naskórkiem twardym od szlójzy i łopaty, Stuknęli się i wychylili.

— Ale cie panie lubią, Antek.

— Nie pleć głupstw, — zganił go Kola niskim głosem. — Nie lubię, jak mi się przyglądają.

Kola był dziwnie nieśmiały. Skłaniał się tylko do rozmowy z Lipkiem. Był samotnikiem. Nie lubił cizby ludzkiej. Na ulicy nawet dzieci oglądały się za nim. Zaraz też wypili piwo i wyszli. Panie długo patrzyły za nimi, panowie uśmiechnęli się swobodnie.

Lipiek siedział, myśląc o tym wszystkim. — Zgarnij trochę węgla — powiedział Kola i sam chwycił za łopatę.

Po skończonym podrzuceniu serce przyjemnie dawało znać o sobie. Łapał powietrze pod nawiewnikiem, popijał z pokrywki od imbryka wodę z cytryną i usiadł na brwle węgla ze spuszczoną głową, z rękami opartymi na ledźwiach. Przedtym popatrzył na manometr i wodę. To okropne, przecież musi zejść teraz, w Filadelfii. Był nachmurzony. Ten kraj, gdzie wszyscy gonili nerwowo za dolarem, nie podobał mu się. Ci ludzie jednak widzieli w tym całe swoje szczęście. On go nie widział, to było jakieś suche i małe. Ten świat jednak był taki, nie w jego wymiarach, cały zamieniony w biuro i w fabrykę. Z tym się nigdy nie mógł pogodzić. A gdyby miał fabrykę i pracował w biurze? — zaśmiał się, to się nigdy nie stanie. Na-

tura jakgdyby stworzyła go do wyteżonej pracy. Dziezgała mówił, że już niedługo fabryki będą należały do robotników, wszystko, cały świat. Uśmiechnął się. Dziezgała chce zrobić z niego za dużego bogacza. To byłoby dobrze wtedy, mówił mu jego zdrowy rozsądek, wtedy byłoby równo. Nie byłoby dławiającej go pychy bogaczy. Ciekawe, czy tego doczeka. Dziezgała był więcej niż święcie o tym przekonany, naukowo i sprawdzalnie, jak mówił. Za to swoje przekonanie już przed wojną nie miał prawa ładowania we Francji i Belgii. Wojna, bohaterstwo — to znaczy czekać aż się będzie zabity w tym czarnym pudle, a jak nie, to się nie będzie bohaterem, chociaż w każdej minucie to może spotkać. I za co — za ojczyznę. Tak trzeba. Przed wojną rząd był jak macocha, która rzadzi strachem swoimi pasierbami. Gdyby żył pół tysiąca lat temu, byłby zbojcem, zabierałby bogatym i dawał biednym, jak Pancho Villa, jak Janosik, równały. — Tak, do tamtego czasu lepiej by pasował. Chciało mu się śmiać: biedny Dziezgała teraz wędruje po świecie i też równo.

Lipiek nazgarniał węgla i znów usiadł naprzeciw niego. Jeszcze rozpamiętywał Klub w Londynie. „Gdybym to ja był taki — myślał sobie — ile pięknych kobiet — w mordę by można było niejednemu dać, niektórzy przecież aż się proszą o to. Ech, życie byłoby wtedy radością. Znowu seria bomb odezwała się niedaleko, po niej — druga. Spojrzeli na siebie, nastuchiwali i milczeli.

— Pójdę zobaczyć nawiewniki — rzekł Lipiek — zdaje się, że źle ciągną.

Po dłuższej chwili wrócił dziwnie spokojny.

— No, co tam widać? — pytał Kola. — Z drugiego boku konwoju świecą rakietami, ale mieszają wodę — dodał kiwając głową.

Teraz z ich boku zadudniły wybuchy. Lipiek spojrzął pod kotły na kupę natremowanego węgla, poczem pobiegł na pokład. Dziezgała podszedł do Kola, jego kwadratowa twarz była nieruchoma i blada.

— Pójdę na górę zobaczyć, jest podsypano, — mówił spokojnie.

— To idź — odpowiedział Kola.

Wybuchy znów wstrząsnęły kadłubem. Przeszedł aż pod drugi kocioł, paleniska dobrze ciągnęły ogniem. Dziezgała długo nie wracał. Lipiek mógł sobie na to pozwolić, jeśli miał natremowany węgiel, ale nie on. Wrócili razem.

— No, co tam? — spytał Kola.

— Nie wesoło, — odpowiedział Dziezgała.

Diezgała szybko wziął się do podsypania. Lipiek do zgarniania węgla; kiedy zgarnął już duży kopic, smignął w górę. Dziezgała znów podszedł ze słowami:

— Jest podsypane.

Kola skinął głową, że w porządku. „Chcą ratować skórę“ — uśmiechnął się. Nie mogą wytrzymać nerwowo. Hm, nieraz już tak było, jednak ciągle pływają. Gdyby nie Kola, lecz kto inny z nimi pływał, nie pozwoliliby sobie wyjść. Maszynista wie, że na jego wachcie para zawsze będzie. Wystarczy, że on jest w kotłowni dla pokrycia. Maszynista przychodził do kotłowni tylko przy objęciu wachty, aby zaśmiać się i powiedzieć im „dobry dzień, znów jazda“. Chodził teraz po kotłowni od burty do burty. U Dziezgały w paleniskach były całe kupy węgla na zapas. Śmiać mu się trochę chcieli z ich strachu. Dopóki stary grat jeszcze może pływać nigdy by tego nie zrobił. Teraz dobrze mu było myśleć, że jeszcze jest przydatny, jak za dawnych dobrych czasów. Ogień w paleniskach wesoło buzował, ze starym Dziezgałą i Lipkiem też było dobrze, zwłaszcza z Lipkiem. No, kiedy wreszcie zejda? Przypomniało mu się lato w Glasgow, było wyjątkowo słoneczne. Długo stali na kotwicy, czekając na konwój. Raz przyjmowali gości z Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Szkockiej. Było wtedy bardzo wesoło, starsze panie adoptowały marynarzy na synów wojennych, pocziwie mateczki. I jego spotkało także szczęście, ale bez adoptacji. Stary, siwy lekarz był wraz ze swoją urodziwą córką. Mabel nie była pierwszej młodości, miała już pod trzydziestkę, ale zachowała dziewczęcą świeżość. Była bardzo delikatna. To go zniewoliło. Przy niej odchodziła go dzikość, stawał się lepszy. Wbierali się na długie spacery, gdzie na trawiastych wzgórzach pasły się owce, a w dolinach szumiały strumyki. Mabel wyglądała bujnie, miękko i słodko jak lipa, on — jak dąb wrosły w ziemię i wyniosły. Jej piętka była tak prosta i szczerą, jak ta ziemia. Potem kiedy wracali, zdawało mu się, że słońce jest jakieś inne, a ten smutny i ponury kraj — najradośniejszy na świecie. Kola uśmiechnął się przy tych rozmyślaniach. Już miał czterdziestkę a jeszcze był jurny. Nie odczuwał teraz samotności, był on, Mabel i ogień buzował wesoło. Znowu wybuchy obłyły się o burty. Mabel miała zupełnie swobodę, jak każda niezamężna Szkotka. Dobrze z nią byłoby zawsze, ale by musiał nie być zwykłym palaczem. Wojna, litowały się nad samotnymi Polakami, to było w modzie. Splunął. To było dużo, ale i mało. Zabrał się do podrzucania swoich palenisk. Kiedy skończył, odsapnął. Przy drugim kotle nie było Dziezgały. Znowu wybuchy. Podszedł do drugiego kotła. Podsypan jedno palenisko. Chwycił go zadyszka, podsypan je trochę i w ostatnie — tylko kilka łopat. Złapał powietrza przy nawiewniku i usiadł na brwle węgla. „Dam ja im — pomyślał. „Co oni sobie myślą — że Kola ma parę, to może?“. Zwiesił głowę. Nie był to już ten sam Kola — co kiedyś, ale Dziezgała i Lipiek nie wiedzą o tym. Tak, zjeździe w Filadelfii, weźmie statek do południowej Ameryki, tam jest Parana, mieszkają w dżungli Wojtki i Maćki o surmiastych wąsach, jak na Mazowszu. U któregoś z nich będzie uprawiał warzywa; może sam wykarczuje sobie półko. Widział siebie na tle olbrzymich pinii; spokój i bezkres zielonego morza. Tak, pasowałby do tamtego kraju. To byłoby nieźle — zaśmiał się. Tam można przetrwać wojnę. Ze swoim zdartym sercem i tak się w niej nie przyda, a potem wróci do Polski. Ale kiedy to będzie można? Wojna jest dopiero drugi rok. Dziezgała mówił, że ledwie się zaczęła; będzie straszna; cały świat będzie wojować, nawet on. Dziezgała, nie wiedział, kiedy może się skończyć. Znowu wybuchy wstrząsnęły statkiem, po nich długa eksplozja. Węgiel w bunkrze z łoskotem zaczął się sypać jak lawina w górach. „Jeden trafiony“ — pomyślał. Wstał i popatrzył na swoje korki. Znowu bomby głębokie stuknęły po burtach. Uśmiechnął się, że to ich nie trafiło. Nagły huk zdławił wszystko. Pudło statku zatrzęsło się. Buchnęła biała para i zaraz — woda. Śmiertelny ból raził go krótko. W tym ostatnim ogromnym bólu zawarło się całe jego długie życie. Zdławiona, umęczona myśl przestała marzyć o szczęściu.

Jan Papuga

JERZY MILLER

NA POZYCJĘ

Dokąd koniu podwozisz to działo?
— Na pozycję podwożę je, chlopecze,
gdzieżby mi się podwozić je dało?
— Na pozycję? — Odrzekłem. — To dobrze!
Dokąd traktor wiezie haubice,
Jej stalowe, wymuskane ciało
w wiecach liści? — Wiezie na pozycję!
Nie zasypiaj żołnierzu na minach
kiedy ciągnik podwozi moździerze.
Ziemię naszą czolgów gąsienice
stemplują, rzekę nawskroś przeczina
ambibia i lśnią łuski mosiężne.
Dokąd czarna gna lokomotywa
i platforma dźwiga jeszcze srebrne,
aż wychudy obciążone tendry
blyszcząc blachą spotałają żelwa?
Młotacz ognia jasność zapowiada,
samoloty tankują benzynę,
Już w powietrzu jeden jest na zwiadach.
Amunicja wybuchnie w niebiosa,
koń w wężowie uprzęż zierbna na dnie,
auto spali się od papierosa,
haubicy gniew zagwoździ jagnię,
broń zardzewi księżycowa rosa,
krew ulewa spadnie prostopadle
i zatrzyma się w obłokach wiosna.
Może tak być musi, przyjaćlelu,
aby nasz dzień nastal przed wieczorem,
obejętne, czy nas kto ostrzeła
iś musimy wznosząc łęk i oręż.

ZBIGNIEW NOWICKI

DO POETY

Bez smutku jak bez radości żyć już nie potrafisz
Otacza cię świat różny jak kwiaty jak bruki
Pisać lepiej nie będziesz gdy żyć lepiej nie możesz
I nie umiesz przedtem nim narodzić się zdolam
Nikt cię nie nauczył słów które mi powtórzysz
Ja ci lampę zapalę kiedy gasnąc zaczniesz
W tobie to odnajdę czego szukać będę
I odejść znowu aby znów powrócić.

* * *

Ludzie, którzy żyć umieją
nie umierają ze śmiercią.

Ich ręce pozostają w murach
Ich twarze pozostają w oczach
Ich krew zastępa w słowach

nie umierają.

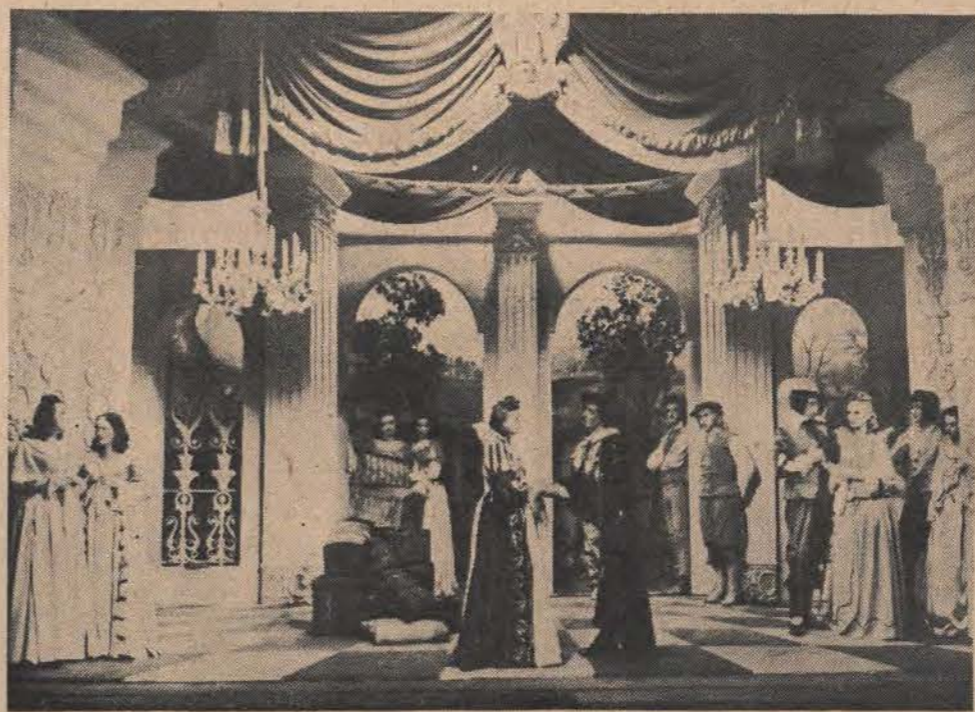
ADAM WAŻYK

Z TEATRÓW ŁÓDZKICH

PAŃSTW. TEATR WOJSKA POLSKIEGO „PIES OGRODNIKA“

TEATR hiszpański szesnastego i siedemnastego wieku czeka na gruntowną rewizję. Sąd wydany o nim na Zachodzie był sądem stronniczym, krzywdzącym Feliksa Lope de Vegę. Z pomocą ręki reakcyjnych romantyków niemieckich, w opinii europejskiej najwyższy awans otrzymał Calderon. Był to awans dla idealizacji rycerstwa i dla mistyki katolickiej. Feliks Lope de Vega, ulubieniec ludu hiszpańskiego, został zepchnięty w cień. De Vega, który świadomie odrzucił konwencjonalną estetykę pseudoklasyzmu i napisał dwa tysiące sztuk scenicznych dla ludu, w oczach burżuazyjnych estetyków uchodził za pracowitego pisarza niepoważnego kalibru. Zaczęto wprawdzie zaglądać do tego nieprzebranego archiwum sztuk teatralnych, ale szukano w nim smaczków i osobliwości, uciesznego, prymitywnego, kanwy do widowisk tanecznych. Właściwa ocena teatru Feliksa Lope de Vegi rodzi się dopiero dzisiaj, w naszych czasach, kiedy otrząsamy się z gustów narzucanych nam przez estetykę arystokratyczną i kulturę burżuazyjną. Radziecy historycy teatru pierwsi dojrzel w teatrze Lope de Vegi bujną i niezmiernie ciekawą treść humanistyczną. Teatr ten wywodzi się z farsy ludowej, z komedii plebejskiej, z nizinnego nurtu literatury i sceny, ale nigdzie, w żadnym kraju, nurt plebejski nie osiągnął tak rozwiniętej formy literackiej, takiej pełni wyrazu scenicznego, tak renesansowej kolorystyki postaci ludzkich, jak w hiszpańskim teatrze Lope de Vegi, i na tym właśnie polega szczególna, jedyna w swoim rodzaju, pozycja tego komediopisarza w kulturze europejskiej. Z pewnością nie jest Lope de Vega czystym nieskazitelnym wyrazicielem światopoglądu plebejuszy hiszpańskich na przełomie renesansu i baroku, z pewnością, jak w każdym społeczeństwie klasowym, teatr jego ulegał naciskowi klas panujących, ale w sztuce Lope de Vegi obraz feudalnego świata, jego proporcje moralne, rozkład blasków i cieni różni się bardzo od reguła Moliere'a czy nawet komedii szekspirowskich. Mamy przed sobą inny, bardziej realistyczny model świata i człowieka, inny system wartości moralnych, inną estetykę.

Tytuł sztuki „Pies ogrodnika”, to przenośnia ludowa, przysłowie o psie który sam nie je i komu innemu zjeść nie da. Ta wymowna przenośnia plebejusza obdarzają hrabinę Dianę de Belflor, która nie pozwala sekretarzowi swojemu, Teodorowi, ożenić się z pokojówką Marcelą, a sama odycha go dlatego, że jest plebejuszem. Czy widzieliście może u Moliere'a, albo u Szekspira, taką hrabinę de Belflor, w takiej sytuacji postawioną i takim przydomkiem oszacowaną? Hiszpański realista z siedemnastego wieku wyposażył hrabinę de Belflor w despotyczny charakter, śmiejącą dumę i gwałtowne zapęły miłosne. Inne osoby z arystokracji są figurami groteskowymi albo poczywymi głupecami. Nie widać nigdzie szlachetnej szlachty, spojrzenie plebejusza odziera szlachtę nawet z uroku dobrych manier i tych wszystkich kon-



Teatr WP w Łodzi — „Pies Ogrodnika“, komedia Lope de Vegi, reżyser, J. Wyszomirski, dekoracje Otto Axera. Na przedzie od lewej stoja: Rachwałska, Billing, Marsa, Krzyski, W. Pilariski, Marisówna, w głębi słuchacze PWST.

wenansów, którymi komedia francuska starała się osłodzić ułomności i przywary arystokracji. Nie idealizuje ani arystokratów ani plebejuszy, traktuje ich jednakowo, z ostrym zaciekaniem realistycznym. Jego sympatie wyrażają się w tym, że plebejusze górują bystrością umysłu i sprytem. Nad wszystkim góruje przemysłny Tristan, który jest sługą sługi. Podsyca akcję sztuki, lata intrygi, flozofuje, naciga akcję urodzonych głupek i wreszcie fantastycznym oszustwem wprowadza Teodora do stanu szlacheckiego, na to aby poślubić Dianę. Ten duch intrygi — Tristan, różni się bardzo od modelu służących w komediach włoskich i francuskich od lokajskich hultajów, których pod koniec sztuki czeka nieodwołalna kara. Nie widać właściwie, aby komukolwiek służył. Uwija się po scenie jako najwyższy wyraz plebejskiego sprytu i odnosi ostateczny triumf Bo zachłanna Diana de Belflor żąda od rzekomego szlachcica aby wytrwał w oszustwie i natychmiast ją poślubił.

Takie rozwiązanie intrygi; napewno nie sżo w smak arystokratycznym widzom z siedemnastego wieku, natomiast wielka musiało sprawić uciechę widzom plebejskiej. Nam, widzom dzisiejszym, triumf sprytnego Tristana daje znacznie mniej satysfakcji. Zdziwić nas może szczególnie ta okoliczność, że autor niewiele dba o los poszkodowanej pokójki Marceli. Między naszym systemem pojęć moralnych a systemem Lope de Vegi jest oczywiście duży dystans. Jest to

dystans historyczny. Lope de Vega za najwyższą wartość uważa spryt i nie przykłada wielkiej miary do uczuć miłosnych. Spryt był wartością najbardziej dostępną i najbardziej pożądaną dla plebejusza w świecie feudalnym, a szlachetne poczucie miłości — wartością jeszcze mu nieznaną. Realizm plebejski siedemnastego wieku nie hodował tej wartości, pozwał jej rozwinąć się w innym, idealistycznym nurcie kultury. Realizm plebejski był ograniczony i historycznie nie-doirzał.

Dlatego też wydaje mi się, że nie należy brać zbyt serio miłości Marceli do Teodora Marcela jest postacią drugorzędą ale rola ta ma kluczowe znaczenie w kompozycji sztuki. W samym tekście mamy dość danych na to, aby dojrzeć w Marceli ten sam gatunek moralny, tyleż skłonności do intrygi i szelmostwa, co w Teodorze i w Dianie. Gdy by tak przedstawiono nam Marcelę, jej los niktoby nie zasmucił, i nie wytworzył zgrzytu w zakończeniu sztuki. Ale stało się inaczej, reżyser pozwolił Marceli zmienić się w niesześciśliwą heroinę. Wzór został wzięty z komedii klasycznych, uczuciowa amantka ze szlachecką metryką otrzymała na odmianę, metrykę plebejską. Ale prostą zmianą metryki nie przechodzi się od jednej estetyki do drugiej. W plebejskim teatrze Lope de Vegi nie ma faktycznie miejsca na sentymentalne amantki ani po tej ani po drugiej stronie bariery społecznej. Tak choć realizm plebejski, może nie dojrzał, może ułomny,

ale pod jednym względem niewątpliwie. Nie zna i nie uznaje modeli pochodzących z estetyki arystokratyczno-mieszczńskiej.

Na inscenizację „Psa ogrodnika” w Teatrze Wojska Polskiego patrzyłem z rozdwojonym uczuciem. Z zachwytem i równocześnie z żalem. Zachwyciłem mnie renesansową widowiskowością, wykończoną aż do ostatniego szczegółu przez reżysera Józefa Wyszomirskiego. Urocze tańce w układzie Jadwigi Hryniewiczkiej płynnie wynikały z akcji i niepostrzeżenie wpływały na nią z powrotem przy pięknej muzyce Tomasza Klesewettera. Zachwyciłem mnie gustowne dekoracje i kostiumy Ottona Axera, zabawa renesansowych kolorów od złotych żółci Caravaccia, przez błękity Velasqueza aż do ciemnych kolorów Goyi. Zachwycił mnie kuglański humor Tristana, swada Teodora, pasja Diany. Żal mój do reżysera zaczął się ustalać od chwili, kiedy ci dwoje jaką stylizacją ruchu zamaskowali bójkę. Czyżby nie wypadało hrabinie de Belflor biegać po scenie i na prawdę uganiać się za sekretarzem? Mogę dać reżyserowi słowo honoru, że w teatrze plebejskim z siedemnastego i dwudziestego wieku nie tylko wypadła, ale nawet jest to bardzo mile widziane. W uroczym widowisku na scenie Teatru Wojska Polskiego przytarto kanton realizmowi Lope de Vegi i zdaje się zgubiono klucz do mechanizmu tej sztuki. Szybko zmieniające się sytuacje w intrzydzie miłosnej wyglądały jak powtórzenia, nie miały dość wyraźnej gradacji. Stawiając te zarzuty, chciałbym równocześnie obronić inscenizację „Psa ogrodnika” przed niesuszynymi zarzutami. W opinii teatralnej wyopinano reżyserowi, że jedne postacie wypadły bardziej realistycznie, inne bardziej groteskowo. Tego rodzaju zarzuty pochodzą z konwencjonalnej estetyki, zupełnie obcej nurtowi kultury plebejskiej w teatrze. Raz już zdarzyło się w historii, że skostniała estetyka zabija plebejski teatr Lope de Vegi. Nie chciałbym aby zbrodnia historii powtarzała się w drobniejszym wydaniu na naszych scenach.

W obsadzie sztuki zabłysnął młody artysta Kazimierz Dejmek. Tristan w jego interpretacji był zbyt niespodzianką. Myślę, że ośmielił młodego artystę kreację Jacka Woszczerowicza w komediach molierowskich. Miał podobną fantazję gestów, gwałtowne zmiany tempa w perorach flozoficznych no i trochę irracjonalnego wydziwiania. Hugo Krzyski jako Teodor, pokazał dojrzały komediowy temperament. Jadwiga Marsa w roli Diany de Belflor była pierwszą naprawdę renesansową kobietą, jaką widziałem w ostatnich latach na scenach łódzkich, ale niestety, dykcja jej nie dopisywała i tekst Lope de Vegi w świetnym przekładzie Tadeusza Pełpera chwiliami szedł na marne. Złe postawioną rolę Marceliny grała Janina Marisówna — miała jasną urodę, piękną suknię, niesłusny głos i banalną słodycz. Z tym większą przyjemnością słuchałem świetnej dykcji Haliny Billing i Barbary Rachwałskiej chociaż odzywały się bardzo rzadko. Na ogół cała prawie obsada sztuki, dość duża, była umiejętnie dobrana.

STEFAN ŻÓLKIEWSKI

NOWY SŁOWICZEK

PAMIĘTACIE znakomitą parodię Tuwima „Słowiczek” z „Jarmarku rymów”? Poeta daje na dwu stronach dźwięczny parodystyczny arcywzór bezmyślnego, pedantycznego komentatora polonistycznego do jednego wiersza z wiersza Mickiewicza, komentarza, który nic nie wyjaśnia. Czymże jest jednak fantazja poety wobec polonistycznej rzeczywistości! Niejaką pan Tadeusz Filip napisał 281 str. takiego Tuwimowskiego komentarza).

Kto chce poznać w najbardziej karykaturalnym nasileniu wszystkie wady degenerującego się, mieszczańskiego literaturoznawstwa ostatnich kilkudziesięciu lat powinien przeczytać tę książkę. Pozna ostateczne konsekwencje, dojdzie do kresu poglądów i narodowych, zobaczy dziwactwa edytorskiej drobiazgowości. Zobaczy do czego prowadzi długi formalizm. Zobaczy wyzarmiony z wszelkich wędzideł zdrowego sensu polonistyczny mistycyzm. Zobaczy dostojne szaleństwo szukania wpływów i zależności jako sztuki czystą, samą dla siebie. Zobaczy popis uroczystej erudycji: kilometrowe łańcuchy tytułów różnych niemieckich przyczynków jako żywo niezwiązanych z tematem. Zobaczy wreszcie patologiczną pogon skojarzeń bardziej dalekich niż hermetyczne metafory Pełpera, skojarzeń, które wśród filologów noszą nazwę uczonego komentarza.

Książka p. Filipa zawiera: wstęp omawiający intencje i budowę „Fortepianu Chopina”, Norwida oraz historię tekstów tego utworu (s. 7—43), przedruk samego wiersza z pierwodruku i autografu (s. 44—66), przypisy komentujące 35 pojedynczych wyrazów wiersza (str. 67—228!!!) i analizę rytmu (str. 229—276) z dodatkami tablic wokalnych (!) Blisko dwieście (200) stron komentarza do wiersza, który normalnie drukowany zajmuje najwyżej 3 (trzy!) strony druku. P. Filip jako główny cel wytknął sobie „dociekanie myślowe i wyobraźniowej pracy poety, której wynikiem jest badany utwór” (str. 8).

Karykaturując idealistyczny psychologizm Tadeusza Filipa: Cypriana Norwida „Fortepian Chopina”. Wyd. M. Kot. Kraków. Biblioteka Naukowa. Literatura — Sztuka — Krytyka. Nr 14, str. 282, 1949 r. autor twierdzi, iż umysł i wyobraźnię Norwi-

da cechuje skojarzeniowość, lakonizm, a jego postawę twórczą „skłonności do tragizowania, parabolizowania, ironizowania, moralizowania i niedopowiadania” (str. 8—9).

Mamy tu do czynienia z niezwykle „zreczynym” zabiegiem myślowym. P. Filip cechy formalne wierszy Norwida (np. lakoniczność tj. krótkość i eliptyczność wypowiedzi z punktu widzenia składni, lub chwyt parabolii znany tradycyjnej stylistyce i łatwo wyróżnialny w każdej strukturze językowej) przypisuje „umysłowi”, „wyobraźni” lub „postawie twórczej” poety. I tak średniowieczną metodą wyjaśnia fakt, iż mak usypia — siłą usypiającą naku.

A intencja utworu? „Zawarł. Norwid w Fortepianie Chopina esencję swych poglądów estetycznych i narodowych, a w szczególności swoje, historyczne i moralne, pojęcie „Polonii” — mówiąc językiem jego epoki, albo „ethosu” Polski — używając terminu nowszego” (str. 12). Dobrze rozumiecie ten nowoczesny język? Wszyscy znamy „Fortepian Chopina”. Co wyraża ten wiersz? Ethos Polskiej Aha!

Ale to wszystko — to są dziecinne igraszki. Tylko słaby przedsmak uczonego komentarza! Np. co p. Filip mówi o zwrocie „Pełne, jak Myth” z wiersza Norwida str. (87—97)? Mówi: 1) gdzie i kiedy zajmował się Norwid mitami, 2) daje szereg cytat z różnych utworów Norwida dowodzących, iż poeta cenil mity. Cytaty zajmują 3 str. druku petitowego. (I nie dotyczy Fortepianu Chopina), 3) pisze, jaki był związek poglądów Norwida na mity z romantycznym kultem „pięni gminnej”, 4) pisze jaki był wpływ na te poglądy:

- a) Winkelman,
- b) Hegla,
- c) Schellinga,
- d) Platona,
- 5) kiedy Norwid stykał się z Schellingiem,
- 6) cytuje co o teorii mitów Schellinga sądzi dr Adolf Allwohn w pracy „Der Mythos bei Schelling” (Charlottenburg 1927), 7) długo analizuje co o mitach pisze sam Schelling w rozprawie „Über Mythen, historische Sagen und Philosophie der ältesten Welt” (1793) (— tu dłuższe cytaty obcojęzyczne, obejmujące 4 str. druku petitowego), 8) autor przechodzi do sprawy „powiązania mitologii z objaśnieniem, co dla nas jest rzeczą najważniejszą z uwagi na mesjanistyczne ujęcie mitu Piasta

w Fortepianie Chopina (por. przypisy 19 i 20): Das Christentum ist vor Christus in der Welt, ja so alt als die Welt... Beide, Mythologie und Offenbarung, verhalten sich zueinander wie exoterischer Prozess und wie innere geschichte. Im Prozess ist bloße Notwendigkeit, in der Geschichte ist Freiheit! Por. podobna myśl u Overbecka, w związku z którego książka Norwid pisał w r. 1852 do M. Działkowskiej o niemożności pojmowania sztuki chrześcijańskiej w oderwaniu od klasycznej... itd. itd.

(To próba stylu, skojarzeniowego” p. Filipa). 9) Autor zastanawia się, o którego Overbecka chodzi, gdy wyżej mówi o Overbucko. O marlarza czy też jego bratanka, historyka czy wreszcie zupełnie innego Niemca tegoż nazwiska? Zagadnienie zostawia nierozstrzygnięte. Ale w nawiasie cytuje tytuły prac tego drugiego Overbecka i tego trzeciego. Jezu!

10) Z tego ostatniego Overbecka cytuje dłuższy ustęp (po niemiecku!) chociaż, dodaje skromnie, „rok wydania jego dzieła wyklucza możliwość odniesienia wzmianki Norwida do niego”.

11) Przytacza dalej co sądzi J. Gw. Pawlikowski (Mistyka Słowackiego W-wa, 1909) na temat poglądów Klemensa Aleksandryjskiego o związkach między mitami greckimi a chrześcijaństwem,

12) i pisze jak myśl ta jest zanotowana (i gdzie!) u Słowackiego, 13) omawia wreszcie, obficie cytując pojęcia bibliograficzne, wpływ na te poglądy Ryszarda Wagnera — Fatalna 13! Toteż p. Filip uważał za słowne usprawiedliwienie się dlaczego w związku (bez związku) z jednym zwrotem Norwida pisze o tyłu sprawach na dziesięciu stronach petitowego druku Wyjaśnienie to brzmi dosłownie (str. 96—7):

„Uważaliśmy za wskazane poświęcić trzeciej linii Fortepianu Chopina stosunkowo dużo uwagi a to ze względów następujących.

- a) ogół czytelników przechodzi nad tą linią bez większego zastanowienia się, a ci, którzy starają się dociec jej myśli, mogą łapotać na niej trudność rozsądzenia, co właściwie ma w niej oznaczać nie tylko „Myth”, lecz przede wszystkim przymiotnik „pełne”, dlatego „pełne — jak Myth?”
- b) w budowie utworu linia ta ma bardzo zasadniczą wagę, gdyż wprowadza i anty-

cypuje ona dwa jego zasadnicze wątki: Orfejski i Piastowski — oba mistyczne i stanowiące o zasadniczej tonacji (aurze) utworu;

- c) zestawienie poglądów na mit, wyrażonych przez Schellinga i Słowackiego, z poglądami Norwida na mit, istotę sztuki, poezję ludową i narodową, może być interesującym przyczynkiem do oceny poglądów estetycznych Norwida;
- d) sama dla siebie godną uwagi jest kulturalna i narodowa waga mitu ujęta w lapidarnym zdaniu Nietzschego: „Ohne Mythen geht jede Kultur ihrer gesunden schöpferischen Naturkraft verlustig; erst ein mit Mythen umstellter Horizont schließt eine ganze Kulturbewegung zur Einheit ab” (Die Geburt der Tragödie aus dem Geiste der Musik (1871)).

Daje słowo, że to ostatnie zdanie Nietzschego jest jedynym na 10 str. komentarza, które wprost mówi czytelnikowi co to jest mit. A jak bardzo ładna ma wartość naukową nie trzeba dowodzić temu, choć liczą postępowej wiedzy o kulturze i krytycznie odnosi się do fascystowskiej „mitologii”.

Toteż autor radzi uzupełnić uwagi na temat mitu jeszcze danymi z jego dalszych przypisów: nr. 27, 6, 12, 19.

Tyle o metodzie interpretacji ideologicznych. A może was interesuje metoda estetycznej interpretacji autora? Przyp. 5 (krótki, tylko 2 strony druku!) komentuje zwrot Norwida „Blade, jak świt...” Wydałoby się zupełnie niezrozumiałe. P. Filip odkrywa w nim jednak wiele tajemnic: 1) kaže go porównać z podobnymi wyrażeniami z innych utworów poety, 2) ustala możliwe związki między Mythem — świtem — Chopinem. A mianowicie: Myth jest świtem myśli artystycznej. Chopin jest światłem polskiej sztuki narodowej. Łączy te dwa świty „pierwiastek idealny w Chopinie”. Dlaczego? P. Filip już nie wyjaśnia. Cytuje natomiast zdanie Norwida z listu do Zaleskiego. „Tak, wierze, iż z umarlými, bo-niesmiertelnými, godzi się trzymać i postępowac” — Godzi się nie godzi?!

A dalej cytując dosłownie analizę estetyczną zwrotu „Blady jak świt...” (str. 98—99):

- d) linia 4 „Blade jak świt...” — wprowadza zasadniczą dla pierwszych 4 strof utworu mol-

lową — alabastrową i widmową — tonację „en blanc mineur“;
linia 4: blade, jak świat...
20: białości alabastrowej,
21: i chwiejnych dotknięć jak strusiowe pióro,
22: mieszała się w oczach z klawiaturą (z słoniowej kości),
25: postać — z marmurów Iona (por. wiersz Marmur biały),
34: doskonałości Peryklejskiej (skojarzenie z rzeźbą grecką),
35: jakby starożytna, która Cnota (skojarzenie bieli),
40: wstęga, ścieżka... (skojarzenie bieli wstęgi z szarością ścieżki),
41: Hostyę, przez blade widzę zboże...
Mollowa, księżycowa tonacja pasywnego wiatru orfejskiego, przeciwstawiona durowej, słonecznej tonacji wiatku piastowskiego, obie w „znaku“ białości (por. odczucie transfiguracji w ewangeljach — przyp. 19).

Określając tonację motywu orfejskiego słowami „en blanc mineur“ („w bieli mollowej“) kierowaliśmy się sugestią wiersza Teofila Gautiera pt. Symphonie en blanc majeur. Wiersz ten, ofiarowany Marii Kaleris, był drukowany — jak podaje Z. Przesmycki w przypisie do wiersza Norwida Marmur biały (Norwida Poezje wybrane, Warszawa, 1933) — pierwotnie w Revue des Deux Mondes w styczniu r. 1849, a następnie w zbiorze pt. Emaux et camées (1852). Tamże zwraca Przesmycki uwagę na interesujące zbliżenie Marmuru białego (1852?) z wierszem Gautiera pt. Le poème de la femme Marbre de Paros również ogłoszonym w Emaux et camées. Nie może ulegać wątpliwości, że Norwid znał Symphonie en blanc majeur, i wydaje się bardzo prawdopodobnym, że — przy podobieństwach motywów kolorystycznych i muzycznych, jakie zachodzą między wierszem Gautiera i Fortepianem Chopina — Symphonie en blanc majeur mogła nasunąć Norwidowi pomysł wydobycia podobnego efektu kolorystycznego, lecz w innej, stosownej do tematu, tonacji: mollowej (por. przypis 6 o tonacji „orfejskiej“). „Tyle może uważa głowa wyczołgać w jednym przymiotniku.“

Jak czytelnicy widzą p. Filip „naukowiec“ dorobił wpływy literackie do własnej metafory („tonacja en blanc mineur“) a nie do metafory Norwida „blady, jak świat“.
Daje słowo, że nie żartuje! To nie mistyfikacja. (Chyba, że książkę napisał naprawdę Gałczyński?). To wszystko jest napisane i wydrukowane w książce, która leży przede mną. Autor pewno dostał za to w Krakowie doktorat — a może nawet habilitację.
Zamiast interpretacji całości ideowej i estetycznej mamy próbę rozbicia wiersza na atomy wyrażen, otoczone mgłą skojarzonych z nim myśli — innych pisarzy, skojarzonych całkiem mechanicznie, na zasadzie czysto werbalnych podobieństw, bez próby metodycznej uzasadnienia gdzie tkwią społeczne i ideologiczne korzenie utworu i dążeń literackich pisarza. Zamiast całości mamy strzępy, z nich ma czytelnik złożyć sobie całość interpretacyjną. „Z tych kawałków trudno będzie“... jak już zauważył stary Dydalski.

Książkę kończy analiza rytmu. Pedantyczne, bezmyślne, poza wszelką teorię języka w ogóle i języka poetyckiego w szczególności dokonane, nikomu niepotrzebne, nie niewyjaśniające obliczenia przycisków, fraz, taktów.
Książka p. Filipa jest jakimś eschatologicznym symbolem całkowitego upadku i bezradności mieszczańskiej wiedzdy o literaturze.

Te 280 str. koszmarnych skojarzeń, cytów, religianstwa, mesjanizmu, pustej erudycji formalistycznego gadulstwa, niezdołności do jakiegokolwiek teoretycznego sądu — nic nie wyjaśnia w wierszu Norwida.
Nie potrafi określić jego myślowej zawartości i artystycznej budowy, nie potrafi wskazać jego funkcji ideologicznej i społecznej, jego miejsca w ideologicznym życiu epoki.
Ta książka dowodzi nie tylko upadku myśli naukowej, ostatecznej kompromitacji metod, które ją zrodziły, ale dowodzi także głębokiego zwrodożenia sztuki pisania wśród mieszczańskich literaturonaukowców. W języku urzędowej polonistyki to się nazywa „błędne wyzerpanie problematyki utworu“. Na gruncie „harmonijnego połączenia“ wszystkich metod (przeciw marksistowskiej jednostronności) i analizy formalnej i psychologicznej, i ideologicznej i estetycznej, i filologicznej i biograficznej. W głębiakim przewładzeniu, że literatura nie ma nic wspólnego z życiem, zwłaszcza społecznym. Ze najlepiej się tłumaczy w zamkniętym, izolowanym świecie książek, czytym świecie idei i cytów niemieckich filozofów.

Zapewne, książka jest wyjątkowa karykaturowa. Ale świadczy także o przeciętnym poziomie uniwersyteckiej polonistyki, o jej stanach, o blednych drogach metody. Jest ostatnim sygnałem alarmu. Nasza filologia nowożytna trzeba ratować.

Stefan Żółkiewski

PRZEGLĄD PRASY

„ŻYCIE NAUKI“

NE CZĘSTO pisuje o prasie naukowej. Trudno bowiem laikowi orientować się jak należy w tych zawiłych sprawach o jakich mówią artykuły w pismach specjalnych. Ich lektura wymaga oczywiście odpowiedniego przygotowania, ich zreferowanie — pewnej orientacji, ale już ocena zawartych w nich myśli może należeć tylko do kogoś, kto bardziej jest kompetentny ode mnie. A więc gdy piszę o pismach naukowych, czynię to jedynie z obowiązku sprawozdawcy, bynajmniej nie zamierzam ani dyskutować, ani też oceriać ich zawartości.

Wśród licznych — na szczęście liczniejszych niż pisma literackie — pism naukowych z wielkim zainteresowaniem przeglądam zawsze „Myśl Współczesną“, gdzie sporo znaleźć można materiału z dziedziny nauk humanistycznych. „Życie Nauki“, którego rocznik 1948 w postaci sześciu zeszytów leży właśnie przede mną, jest pismem nieco innym niż wszystkie inne pisma naukowe. Jest to mianowicie „miesięcznik naukoznawczy“, zajmujący się przede wszystkim sprawami organizacji nauki, zarówno w ogólnym znaczeniu tego słowa, jak i w odniesieniu do poszczególnych jej dziedzin.

Sądzę, że suchy przegląd ważniejszych pozycji, jakie rocznik ten przynosi, zorientuje należycie czytelników w wartości tego poważnego i potrzebnego pisma.

Pierwszy zeszyt w roku 48 (tom V, Nr 25—26) przynosi na wstępie tekst przemówienia Bolesława Bieruta na inauguracyjnym zebraniu Rady Głównej do spraw Nauki i Szkolnictwa Wyższego. W przemówieniu tym między innymi została poruszona sprawa planowania i stosunku uczonych do tej sprawy: „Idea planowania — mówił Bolesław Bierut — w dziedzinie naukowych prac badawczych, w dziedzinie kształcenia kadr fachowych, w dziedzinie upowszechniania oświaty i kultury jest tylko prostą konsekwencją planowania gospodarczego, prostą konsekwencją unowocześnienia stosunków społecznych, gospodarczych i po-

litycznych, jakie dokonały się w naszym państwie. Oczywiście, idei planowania nie należy wulgaryzować, idea planowania jest słuszną i realną tylko w określonych warunkach ustrojowych i tylko w określonym zakresie może przynieść pozytywne wyniki“.

W następnym numerze znajdujemy w artykule sprawozdawczym „Nauka w kraju“ liczne wypowiedzi uczonych w dyskusji nad referatem Eugenii Krassowskiej o wytycznych programowych Ministerstwa Oświaty w zakresie nauki i szkolnictwa wyższego. W trzecim numerze (maj — czerwiec) zajął miejsce praca Stanisława Sierotwińskiego „Zagadnienie teorii bibliografii“ oraz Jana Dembowskiego „W sprawie kształcenia młodych sił naukowych“. Z zestawień statystycznych, jakie podaje autor, wynika, że sytuacja w tej dziedzinie nie jest zbyt korzystna, że niektóre działy nauki „praktycznie nie są reprezentowane w Polsce, gdy idzie o studentów“. Dembowski w opracowanej przez siebie tabelce stwierdza, iż łącznie na wszystkich latach i na wszystkich uniwersytetach polskich tylko 11 studentów poświęciło się mineralogii, tylko 17 zajmuje się archeologią. Planowanie — rzecz prosta — nie może dotyczyć tylko praktycznych dziedzin życia gospodarczego, ale musi objąć również i te, które stanowią o należytych teoretycznych przygotowaniach do spraw praktycznych. Dembowski w swojej pracy omawia te zagadnienia i wskazuje wcale środki zaradcze — stworzenie odpowiedniej atmosfery naukowej, rozwój pracy badawczej profesorów, odciążenie profesorów od spraw urzędowych, należyte uposażenie pracowników naukowych, odpowiednia organizacja studiów, wreszcie kierowanie odpowiednio zdolnej, starszej młodzieży do studiów przez organizację i partie polityczne.

W następnym numerze artykuł wstępny został poświęcony Wrocławskiemu Kongresowi Pokoju. Mieczysław Chojnowski pisze obszernie o nauce i o kształceniu pracownika naukowego w ZSRR („Nauka i uczone w Związku Radzieckim“).

Jest to artykuł solidny, utrzymany na należytych poziomach.

Interesującą inowacją wprowadzoną przez „Życie nauki“ jest dodawany do rocznika podwójny skorowidz — autorski i co najważniejsza — rzeczowy, który niezmierzanie ułatwi orientację w bogatych zwłaszcza działach sprawozdawczych, recenzyjnych, kronikarskich etc.

„Życie Nauki“ jest pismem, które daje żywy, barwny przegląd ważnych wydarzeń, jakie zachodzą w dziedzinie wiedzy ludzkiej na całym świecie. Jednocześnie „Życie Nauki“ potrafi należycie ocenić wartość poszczególnych zagadnień i stosownie je według tej ważności scharakteryzować.

Na koniec pragnąłbym jeszcze odnotować, że w bieżącym numerze tego pisma znaleźć można interesujący już nie tylko naukowców, ale każdego, kto zajmuje się sprawami literatury, a zwłaszcza troszczy się o należyty poziom krytyki literackiej, artykuł Stefana Żółkiewskiego, omawiający plan działania i zakres prac nowopowstałego Instytutu Badań Literackich. Szczególnie ważny jest podany przez autora wykaz prac, które podjął Instytut. Pozycji tych ogółem wymienia Żółkiewski 19. Wśród nich — studia nad powieścią staropolską, monografie pisarzy polskich (Boy, Witkiewicz, Bałucki, Orzeszkowa, Kaden - Bandrowski), monografia poezji polskiej 1918—23, wreszcie monografie krytyków polskich — Chmielowskiego, Chlebowskiego, Tarnowskiego. Wydane będą również studia z zakresu marksistowskiej teorii literatury, co niewątpliwie należało uczynić już bardzo dawno, w każdym razie zanim jeszcze wprowadzono do publicystyki literackiej elementy marksistowskiej teorii literackiej. Być może uniknęlibyśmy wówczas rozmaitych uproszczeń, a także mielibyśmy właściwe pojęcie o tym, co jest jedynie socjologizowaniem w krytyce literackiej, a co jest istotnie marksistowską teorią literatury.

ph.

NA PÓLKACH KSIĘGARSKICH

Wanda Meiser. Morele Madzi. Okładkę projektował Józef Rachwałski — Warszawa, „Książka“, 1948, r. Str. 254 i 2zn.

Zamierzeniem autorki była prawdopodobnie powieść polityczna, czy obyczajowo-polityczna, otwierająca atmosferę Warszawy z ostatnich lat ub. stulecia oraz pewne, jeśli tak powiedzieć można, przedłużenia tych spraw warszawskich w ośrodkach studenterii polskiej na Zachodzie. W tym celu autorka nagromadziła sporo autentycznego, jak twierdzi, materiału, który miał posłużyć do charakterystyki osób powieściowych oraz historycznych realiów, będących uwarunkowaniem ich dziełowej osobowości.

Interesujące zamierzenie nie zostało, niestety, w sposób pozytywny urzeczywistnione. Różne i różnorodne wątki łączą się z sobą i krzyżują, zbiegają się i rozciągają, nie tworząc jednak tkaliny powieściowej o zwartym i przejrzystym desenie. W wysokim stopniu obciąża narrację nadmiar sążnistych i zbyt drobiazgowych opisów, zawiłych i mglistych dyskusji, po prostu gadulstwa, co przy zupełnym prawie braku konsekwentnej akcji czyni te lekturę nużącą i rozwlekłą.

Stosunkowo najlepiej poradziła sobie autorka z zarysowaniem wizerunków czterech sióstr Międzyrzeckich, prezentując w ich osobach obszerną skalę odmienności charakterów i temperamentów. Jedną z nich — genewska studentka, uczy się raczej z mody niż z wewnętrznej potrzeby, marząc egotystycznie o karierze światowej, druga, uczennica Pasteura jest lekarzką w Paryżu, tak pogrążoną w studiach naukowych, że spoza nich nie umie już dojrzeć człowieka i spraw ludzkich; trzecia — to dla odmiany typ dewotki i religiantki, uciekającej od życia w mury klasztorne; czwarta, wreszcie, mężatka, jest zagorzałą działaczką społeczną i polityczną, bliska ówczesnej socjaldemokracji. Ta ostatnia właśnie — Zofia Rakowska najczęściej budzi w nas sympatię, mimo że jej kontur psychologiczny nie odznacza się zdecydowaniem. Niepotrzebnie jednak, jak sądzę, do zakończenia samobójstwem losów Zofii wprowadziła autorka pierwiastek melodramatyczny, w postaci romantycznej i nieodwzajemnionej miłości młodego dygnitarza... zandarmerii rosyjskiej, wytwornego estety i pięknoducha z usposobienia.

Występuje, zresztą, w tej książce i drugi rosyjski generał, również „półonofitskich“ sympatiach, który ma piękną kochankę —

warszawską Żydówkę, Madzię. Ta Madzia hojnie w swym ogrodzie morele — i stał właśnie tytuł powieści, dość pretensjonalny, a niczym w istocie nieuzasadniony, gdyż „morele Madzi“ są tu szczytaniem bez znaczenia, chyba, że autorka widzi w nich jakdś, sobie tylko wiadomy sens... symboliczny. Dla książ-

ki, o której tu piszę, można by znaleźć sto innych, mniej botanicznych, tytułów, co by jej, zresztą, nie zaszkodziło, ani nie pomogło. Nie o tytuł przecież chodzi, lecz o rzecz samą, która w tym wypadku jest jak owoc źle związany, kwaśny i niedojrzały.

bd.

KOESPONDENCJA

W sprawie recenzji z książki J. Wadforffa

W numerze 12 „Kuźnicy“ ukazała się moja recenzja z książki J. Wadforffa — niestety z opuszczeniem dołączonego do niej post scriptum, które sens drukowania nieaktualnej już wypowiedzi tłumaczyło. Powtarzam więc ów przeoczenie przez redakcję tekst. Brzmiał on jak następuje:

Recenzja z książki J. Wadforffa pt. „Godzina polityczna“ zamówił u mnie redaktor literacki tygodnika „Przekrój“ z początkiem października 48, nalegając o pośpiechu. Zobowiązałem się dostarczyć rzecz do 20.X. 48 i terminu dotrzymałem. Recenzja miała się ukazać w najbliższym numerze wym. pisma. Po dwóch miesiącach z okładem ukazało się w wym. piśmie streszczenie wymienionej książki, podpisane przez Wojciecha Żukrowskiego. Po tym wyjaśnieniu (jedynym), jakie w sprawie zamówionej u mnie recenzji otrzymałem ze strony redakcji wym. pisma, skierowałem swoją recenzję do redakcji czasopisma „Odra“. Niestety, okazało się, że „Odra“ o publikowała już wcześniej omówienie wymienionej książki, podpisane przez Wojciecha Żukrowskiego. Ponieważ mam nadzieję, że recenzent ma również pewne szanse publicznego wyrażenia swego sądu o książkach, i ponieważ nie udało mi się zlokalizować swej opinii o wymienionym utworze w prasie polskiej południowej — proszę o udzielenie mi, na ten raz, gościnny na łamach pisma, w którym ceniony nowopolarsz Wojciech Żukrowski recenzji na ogół nie ogłasza. Chodzi w końcu o to, by poinformować wymienionego na wstępie autora co sądzę o jego książce, skoro już zadatem sobie nie najkonieczniejszy trud jej przeczytania. Obawiam się bowiem, że redaktor literacki „Przekroju“ nie powtó-

rzył mojego sądu autorowi „Godziny politycznej“, mimo, że obydwie te osoby są Jermym Waldorffem. Dyskrecja przesadna.

Z poważaniem
Wilhelm Mach
Kraków, ul. Krupnicza 22

Literaci a prasa codzienna

Stefan Żółkiewski, pisząc o zjeździe pisarzy czechich i słowackich („Kuźnica“ nr 11/184) poruszył sprawę bardzo interesującą prasę i dziennikarzy polskich, mianowicie sprawę współpracy literatów z prasą. W Czechosłowacji — jak pisze Żółkiewski — prawie wszyscy pisarze pracują w prasie codziennej. Literaci wypracowują w prasie typ masowej, wysoce ideowej „małej formy“: felietonu, szkicu, essay'u, odezwy. Wiadomo, że wielu znakomitych pisarzy radzieckich uprawia z zamiłowaniem szkic, jako rodzaj literacki i kto czytuje prasę radziecką, wie jak często można tam znaleźć pod szklkami podpisy wybitnych pisarzy. U nas obraz jest inny. Szkice, felietony i essay'e pisane przez literatów należą do rzadkości w naszej prasie codziennej. Przyczyną tego stanu rzeczy nie jest warianek — jak pisze Żółkiewski — tempo pracy w naszych redakcjach. Każda redakcja może ochronić pisarza przed tym wariankiem tempem, które niestety istnieje, ale z powodu którego nie muszą cierpieć autorzy felietonów i szkiców. Nie wdając się jednak w analizę przyczyn tego stanu rzeczy, pragnąłbym zaproponować po prostu jego zmianę.

Gazetom jest koniecznie potrzebny dobry felieton i dobry szkic; potrzebne są reportaże, felietony wydawnicze i teatralne, potrzebne są recenzje, które nauczą czytelników lubić autora, jego książki, postaci przez niego stworzone. Pomoc literata jest konieczną, jeśli gazety mają wykonać swoje zadanie w dziedzinie wytworzenia nowej moralności i w walce z kulturalnym. Gazety proszą o po-

TREŚĆ NR. 13:

Juliusz Słowacki — Myśl i uwagi; Leon Przemski — Walka o prawdy żywotne; Mieczysław Jastrun — Lud pójdzie za mną; Jarosław Iwaszkiewicz — O Słowackim; Stanisław Pietak — Mój Słowacki; Paweł Hertz — Jeden przeciw sprawie; Sewern Pollak — Sprawy rosyjskie w poezji Słowackiego; Janina Kulczycka-Saloni — O Einzebluszu Słowackim; Witold Łukaszewicz — Nieznane listy Stanisława Worcella i Maurycego Mochnackiego do Antoniego Ostrowskiego (1833—1834); Paweł Hertz — Działalność Polskiego Wydawnictwa Muzycznego; Korespondencja; Noty.

moc literatów wszędzie tam, gdzie trzeba uogólnić walkę nowego ze starym, gdzie trzeba i można zrobić bilans walki nowego ze starym we wszystkich dziedzinach życia. Wiele jest spraw i dziedzin, w których współpraca pisarza z prasą dałaby dobre wyniki zarówno dla literatów, jak i dla gazet. Zapotrzebowanie prasy w tej dziedzinie jest ogromne. Mogę to stwierdzić, ponieważ jestem sam dziennikarzem pracującym w prasie i w pewnej mierze znam jej potrzeby. Stefan Żółkiewski nawołuje do tego, by sprawa „małych form“ publicystycznych w pracy literata stała się tematem dnia w naszych dyskusjach literackich. Sądzę, że autor „Wizyty w Pradze“ nie będzie mi miał za złe, jeśli uzupełnię jego propozycję wnioskiem, by literaci, zwłaszcza młodzi zechcieli — nie czekając na wynik dyskusji, po prostu zacząć pracować dla instytucji prasowych, np. dla redakcji, w której pracuje niżej podpisany i która obsługuje całą prasę partyjną, zwłaszcza prowincjonalną, gdzie brak szkiców, felietonów, essay'ów jest szczególnie dotkliwy.

Jerzy Kowalewski
Redaktor Naczelny Agencji
Robotniczej
Warszawa, Al. Jerozolimskie Nr 85

W sprawie rysunku Cypriana K. Norwida

W związku z zamieszczeniem w numerze poprzednim „Kuznicy“, poświęconym Juliuszowi Słowackiemu, rysunku C. K. Norwida, jako ten, kto rysunek ów podał do reprodukcji, winien jestem kilka słów wyjaśnienia.

Odbitkę tego rysunku otrzymałem od Juliusza W. Gomulickiego, doskonałego znawcy poezji i grafiki Norwida. J. W. Gomulicki zgodził się na reprodukcję tego rysunku i obiecał przesłać odpowiednią notę. Niestety — noty tej dotąd nie otrzymałem, toteż pozwolę sobie powtórzyć to, co oświadczył mi J. W. Gomulicki. Rysunek reprodukcją przez „Kuznicę“ nosi datę 1850 r. Wiadomo, że Słowacki zmarł 3 kwietnia 1849 roku i że Norwid widywał się z nim w ostatnich latach życia, a także, że był u Słowackiego na niewiele dni przed jego śmiercią. Nadto p. Gomulicki twierdził, że postać wyobrażona na rysunku nie jest do nikogo innego ze współczesnych podobna, że należy przypuszczać, iż jest to portret Słowackiego, jak go widział Norwid w ostatnich dniach przed śmiercią. Od siebie dodam, iż wertując niedawno „Czarne i białe kwiaty“, a w nich wspomnienie o wizycie Norwida u Słowackiego, znalazłem (w tomie F wydania Miriama-Morkowicza) uwagę Miriama, iż „Czarne i białe kwiaty“ są prawdopodobnie fragmentami jakiegoś obszerniejszego pamiętnika „Czarne i białe kwiaty“ wraz z kilkoma innymi utworami w wydaniu Miriama są oznaczone datą 1850—1857 r. Jeśli przyjmie my, że wspomnienie o wizycie u Słowackiego zostało zanotowane w roku 1850, to data 1850 na reprodukcji przez „Kuznicę“ rysunku nie przemawia przeciw temu, iż może być to portret Słowackiego narysowany przez Norwida z pamięci, w chwili, gdy również na podstawie pamięci spisywał swoje wspomnienia o Słowackim.

Ze swojej strony pragnę raz jeszcze podziękować tą drogą J. W. Gomulickiemu za to, iż zezwolił na reprodukcję w „Kuznicy“ owego rysunku i prosić go o zabranie głosu w tej sprawie, ważnej dla wszystkich miłośników poezji Słowackiego i Norwida.

Paweł Hertz

KSIAŻKI NADESLANE

- Erskine Caldwell:** Druga Ameryka. I — Droga tytoniowa, przekł. J. Łaszczyński i M. Żurawski. II — Tarapaty lipcowe, przekł. J. Łaszczyński i T. Borowski. Klub Literacki „Odrodzenia“, VI 1948. Nakł. Spółdz. Wydawn. „Czytelnik“, Kraków 1949, str. 337.
- Teodor Tomasz Jeż:** Miłość w opałach. Powieść z dziejów Kroczy. Nakł. Spółdz. Wydawn.-Oświatowej „Czytelnik“, Warszawa 1948, str. 271.
- Tadeusz Filip:** Cypriana Norwida Fortepian Szopena ze stanowiska twórczości poety odczytany. Wydanie krytyczne posmatu opatrzone wstępem, przypisami i próbą analizy rytmu. Literatura — Sztuka — Krytyka — Biblioteka Naukowa Nr 14. Nakł. Wydawn. M. Kota, Kraków, 1949, str. 284.
- Józef Korzeniowski:** Kolokacja. Oprac. Z. Szwejkowski. Biblioteka Arcydzieł Poezji i Prozy Nr 25. Nakł. Wydawn. M. Kota, Kraków 1949, str. 222.
- Henryk Ibsen:** Długa kaczka. Dramat w 5 aktach. Z upoważnienia autora przetłumaczył i opracował Artur Górski. Biblioteka Arcydzieł Poezji i Prozy pod red. Stanisława Pigonia Nr 52. Nakł. wydawn. M. Kota, Kraków 1949, str. 179.
- Miguel de Cervantes Saavedra:** Don Kichote. Przekł. z hiszpańskiego i oprac. S. Ciesielskiej-Borkowskiej. Biblioteka Arcydzieł Poezji i Prozy pod red. Stanisława Pigonia Nr 35. Nakł. wydawn. M. Kota, Kraków 1949, str. 296.
- Leon Kruczkowski:** Pawie póra. Część I. Biblioteka Romansów i Powieści Nr 27. Nakł. Spółdz. Wydawn.-Oświatowej „Czytelnik“, Warszawa 1948, str. 91, 2 i 90—.
- Walter Scott:** Powrót krzyżowca (Ivanhoe). Oprac. Stefania Draczkó. Nakł. Spółdz. Wydawn. „Chłopek Świat“, Warszawa 1948, str. 346.

SPROSTOWANIE

Do sżkicu mego o Słowackim „Lud pójdzie za mną“ zakradł się bład korektorski. Zamiast: „Mickiewicza oburzała bezkompromisowość kościółca“ ma być oczywiście: „Mickiewicza oburzała kompromisowość kościółca“. Oprócz tego chochlika drukarskiego, który chciał lekką ręką rozgrzeszyć politykę papieża, zakradł się do mojej pracy inny jeszcze bład — z mego niedopatrzania. Chodzi o interpretację fragmentu „Wtenczas w Poznaniu był ruch nieustanny...“ Urzynek ten nie świadczy o anty-plebejskim nastawieniu Słowackiego, lecz raczej, żądtem swym zwraca się przeciw tym, których razil ruch powstańczy, gdzie „Szewcy, mospanie, dawali ton, który (Chociaż sprawiony w bardzo niskiej sferze...“.

Mieczysław Jastrun

Oświadczenie Eluarda

Jak wiadomo, amerykański Departament Stanu odmówił wydania wizy wjazdowej do Stanów Zjednoczonych sławnemu poecie francuskiemu, Paul Eluardowi, który miał uczestniczyć w nowojorskim kongresie intelektualistów w obronie pokoju. Eluard opublikował w związku z tym następujące oświadczenie:

„Jeżeli zgłosiłem się do mającego się w kwietniu odbyć w Paryżu światowego Kongresu w Obronie Pokoju, uczyniłem to w przekonaniu, że obowiązkiem każdego intelektualisty jest wzięcie udziału w walce toczącej obecnie przeciwko szeroko zakrojonym przygotowaniom wojennym, których najdonioślejszym przejawem jest podpisanie Paktu Atlantycznego.

Byłbym udat się do Nowego Jorku na kongres intelektualistów w obronie pokoju, ale dziś rano otrzymałem wiadomość, że Departament Stanu odmówił mi wizy wjazdowej na mocy ustawy z 16 września 1918 roku, która zakazuje wstępu na terytorium Stanów Zjednoczonych wszystkim osobom, należącym do jakiejkolwiek organizacji, mającej na celu obalenie rządu federalnego siłą lub gwałtem. Dokładnie to właśnie oskarżenie ciąży na dwunastu przywódcach Komunistycznej Partii Stanów Zjednoczonych. Stwierdzam, że powołano się obecnie na ten sam pretekst w stosunku do obywatela francuskiego, który swymi pismami pragnie oddać usługi jedynie sprawie wolności i szczęścia ludzkiego. Dodam, że wydaje mi się rzeczą osobliwą, iż zakaz ten został wydany w tym samym momencie, w którym rząd francuski zezwolił wszystkim obywatelom amerykańskim — bez względu na ich przynależność polityczną — wkroczać na nasze terytorium bez jakichkolwiek wiz“.

mp.

Apel intelektualistów rumuńskich

W dniach 29—30 marca br. obradował w Bukareszcie kongres intelektualistów Ludowej Republiki Rumuńskiej. Nawiązując do deklaracji wrocławskiej, komitet organizacyjny tego kongresu wydał do intelektualistów swego kraju odezwę, którą niżej podajemy w jej partiach najbardziej zasadniczych: „Naukowcy, literaci, artyści! Intelektualiści Ludowej Republiki Rumuńskiej!

Ludzkość srogo została doświadczona przez drugą wojnę światową: przygotowaną przez imperialistów całego świata i rozpętaną przez hordy faszystowskie. Agresja, do udziału w której nasz naród został wciągnięty przez faszystowski rżime bankierów i wielkich posiadaczy krajowych i zagranicznych kosztowała nas setki tysięcy istnień ludzkich i sprawowała ponure lata terroru i nędzy.

W Ludowej Republice Rumuńskiej nie panują już kapitałiści i wielcy posiadacze ziemi, nie wydają rozkazów imperialiści. Ludowa Republika Rumuńska jest krajem wolnym i niezależnym, krajem ludu pracującego, krajem połączonym przyjaźnią i sprzymierzonym z wielkim Związkiem Socjalistycznym Republiki Radzieckich.

Upłynęły zaledwie cztery lata od chwili, gdy wojska radzieckie zdruzgotaly faszystowską machinę wojenną, a już imperialiści podjęgali do nowej wojny. W wielu punktach kuli ziemskiej leje się krew ludów, walczących o wolność i niezawisłość narodową. Wbrew pragnieniom pokoju, żywnym przez miliony ludzi wszystkich krajów świata, imperialiści anglo-amerykańscy przygotowują nowy zamach na pokój i kulturę. Chcą oni wciągnąć ludzkość w nową, krwawą i zaborczą wojnę, aby nadal utrzymać w niewoli dolara narody krajów kapitalistycznych. Ich nienawisć zwraca się w pierwszym rzędzie przeciwko Związkowi Radzieckiemu, obrońcy pokoju i niezawisłości narodowej ludów.

Świadomi wielkiej odpowiedzialności wobec własnej ojczyzny, wobec świata pracy Ludowej Republiki Rumuńskiej i wobec historii, podnosimy głos przeciw podjęgaczom wojennym jak również przeciw tym intelektualistom, którzy przeszli na służbę imperialistów.

Niech kongres będzie nowym potwierdzeniem powziętej już raz decyzji, że wytrwamy na pozycjach obrony demokracji i kultury przeciwko imperializmowi“.

rde.

Grimm zbawia Europę

Hans Grimm był za czasów Hitlera wiernym i oddanym piewca narodowego socjalizmu, autorem książki „Volk ohne Raum“, w której znalazły wyraz wszystkie zasadnicze

Noty

tezy programowe hitlerizmu. Dzisiaj jednak wraz z innymi ideowymi kolegami po piórze Grimm został przywrócony do task anglosaskich. Hans Grimm jest potrzebny dla propagowania „idei atlantycznej“ oraz hasła „Stanów Zjednoczonych Europy“. Zrehabilitowany hitlerowiec obejdzła większe miasta zachodnich Niemiec, wygłaszając plomienne przemówienia polityczne. Przed kilkoma dniami odwiedził on Hanower, gdzie przez dwie godziny rozwijał koncepcję „Europy bez granic“. U Grimma i jego protektorów nie tylko Europa, lecz także i bezczelność nie ma granic. Mówca wytłumaczył swoje grzechy przeszłości bardzo pomysłowo, określając swoją

Reklama jest dźwignią... literatury

Rzecz dzieje się, rzecz jasna, w USA. Pewnego słonecznego dnia, w marcu 1949 roku, w śródmieściu Chicago otwiera się na trzynastym piętrze drapacza chmur okno, w którym ukazuje się roznegliżowana, młoda i przystojna dama. Kobieta przesadza zręcz-



nym ruchem parapet okna i umyka po drabince sznurowej przed rozszalałym mężczyzną, przesiadującym ją z pistoletem w ręku. Niewiasta, znalazłszy się na chodniku, wskakuje w samochód i odjeżdża. Na ulicy gromadzi się wielki tłum ludzi, który z zaciekawieniem śledzi frapującą scenę. W tej chwili ukazuje się w otwartym oknie na trzynastym piętrze głośnik, z którego rozlega się następujące słowa: „Szanowne panie i szanowni panowie! Przed chwilą widzieliście początek naszej nowej powieści. Jeśli chcecie znać dalszy ciąg tej historii, kupcie jeszcze dzisiaj „Chicago Times“! I ludzi kupują.“

Łaska

„Dziś i jutro“ (Nr 12) ogłasza obszerny artykuł Jana Dobraczyńskiego pt. „Quo vadis — po 52 latach“. W zakończeniu tego artykułu czytamy:

...tam gdzie Sienkiewicz sam mówi przez swoich bohaterów, tam przemawia jako biedny przedstawiciel najbiedniejszego z epok: załosnego 19 wieku. Tam, gdzie mówi jego talent — ta siła niezależna od postaci piszącego — tam dokonuje się niespodzianka. Łaska umie przemawiać nie tylko przez człowieka ale i mimo człowieka“.

Dowiadujemy się więc, że talent jest siłą niezależną od pisarza (postać piszącego?) i że łaska umie przemawiać nie tylko przez człowieka, ale i mimo człowieka. To znaczy, jeśli dobrze rozumiemy, łaska objawiać się może również poprzez pisarza (postać piszącego) bez talentu. W jakim to tajemniczym celu forsuje Dobraczyński tę myśl bogobojną? Dla-



Labour - Baby

Angielska Partia Pracy, chcąc podreperować mocno nadszarpaną autorytet w oczach wyborców, wpada na dziwny pomysł. W tych dniach pojawiły się na ulicach Londynu ulotki z podobizną zdrowego dziecka, zaopatrzone następującym napisem: „W wózkach dziecięcych Wielkiej Brytanii zobaczycie obecnie najpiękniejsze dzieci na świecie. Wielka Brytania daje dzisiaj matkom i dzieciom lepsze szanse, niż jakikolwiek inny kraj na świecie“.

Ten sposób propagandy obrzucił partię konserwatywną, której rzecznicy oświadczyli, że dziecko sfotografowane na ulotce nie urodziło się wcale pod rządami Partii Pracy, lecz za „dobrych i starych“ czasów konserwatywnych i przedstawia księcia Kentu, który liczy obecnie trzynaste lat. Konserwatyści oskarżyli ponadto labourzystów o uświatlenie wciąganiu brytyjskiej rodziny królewskiej do przyszłej kampanii wyborczej, co jest w Anglii precedensem niesłychanym. W rezultacie generalny sekretarz Partii Pracy, Morgan Phillips, był zmuszony oświadczyć, że zdjęcie księcia Kentu znalazło się na ulotce przez pomyłkę. Czym się teraz pochwałą biedni „socjaliści“ angielscy?

Masley we fraku

Oswald Masley, przywódca angielskich faszystów, przeniósł teren swojej działalności ze wschodniej dzielnicy Londynu do eleganckiego przedmieścia Kensington. Wschodnia część stolicy angielskiej jest zamieszkała przez biedotę, która zbyt „żywiolowo“ reagowała na antysemitkie wybryki Masleya, Kensington natomiast jest domeną wpływów konserwatywistów, bardziej wyrozumiałych na



faszystowską propagandę wodza angielskich brunatnych koszul. Antysemitkie przemówienie, wygłoszone przez konserwatywnego posła na konferencji torysów w Brighton, świadczy o znikomej różnicy zdań między Masleyem i konserwatystami. Nic więc dziwnego, że Masley zmienił brunatną koszulę na elegancki frak i przeniósł się do Kensington, gdzie będzie mógł kontynuować „dobre tradycje angielskie“. Antysemityzm stał się w Anglii „salonfähig“.

rk.

Zasługi wydawców

Wiele mówiono o cenach książek w Polsce, niewiele uczyniono dotąd, by je rzeczywiście obniżyć do takiej wysokości, że kwestia nabycia książki nie przedstawiała by więcej trudności niż sprawa półscia do kina. Dopóki ceny książek nie zostaną obniżone (przynajmniej niektórych książek), dopóty sprawa upowszechnienia książki jest zawieszona w powietrzu. Oczywiście — uczyniono już pewne posunięcia w tym kierunku. Pisalem dwukrotnie o wydawnictwach KUK. Czy jednak jest to już najtańsza kalkulacja, czy nie można by tych cen jeszcze obniżyć?

Oto leży przede mną tom Lucjana Rudnickiego „Stare i nowe“ w wydaniu Państwowego Instytutu Wydawniczego, 227 stronic druku, papier przystwoity satynowany, kl. VII, nakład sto tysięcy pięćset egzemplarzy, cena — 150 zł. Ale w sprzedaży zorganizowanej przez RSW „Prasa“ cena tej książki wynosi tylko 100 zł. Według informacji otrzymanych z wydawnictwa tą drogą i po tej cenie zostanie sprzedanych 90.000 egzemplarzy.

Należy oczekiwać, że działalność KUK, a także inicjatywa Państwowego Instytutu Wydawniczego przyczyni się do współzawodnicstwa w kierunku obniżenia cen książek. Oczywiście nie wszystkie książki muszą być tak tanio sprzedawane, ale pewne książki — te, które winny stanowić podstawę dalszego rozwoju intelektualnego najszerzych rzesz czytelniczych — muszą być tanie i coraz tańsze.

Z nowych wydawnictw, wymienić należy kolejny tom Jeża („Niezaradni“), który ukazał się w „Czytelniku“ oraz obszerny wybór poezji Leopolda Staffa, nakładem „Książki i Wiedzy“. Chciałbym dodać, że z obserwacji moich wynika, iż jedyną instytucją, która wydaje jeszcze utwory poetyckie w Polsce jest „Książka i Wiedza“, „Czytelnik“, który zapowiadał rozmaite interesujące rzeczy m. in. tom Pawlikowskiej) w dziedzinie poezji ostatnio poprzestał na Tuwimie. A przecież poezja polska — i dawna i nowsza — jest znacznie rozleglejsza.

ph.

Redaguje: Zespół „Kuznicy“

Wydaje: Spółdzielnia Wyd. „Czytelnik“

Redaktor naczelny przyjmuje we wtorki, czwartki i soboty od godziny 11 do 13.

Adres Redakcji i Administracji: ul. Piotrkowska Nr 95 — Telefon 304-75

CENA OGŁOSZENIA: Za 1 mm na 1 szpaltę 50 złotych.

WARUNKI PRENUMERATY:

Miesięcznie zł 80.—; Kwartalnie zł 240.—; półrocznie zł 480.—; rocznie zł 960.—

Należność za prenumeratę należy wpłacać

do PKO konto VII—567 „Prenumerata Kuznicy“

Drukarnia Nr 4 Spółdz Wydawniczo-Oświatowej „Czytelnik“ — Łódź, Zwirki :

D—030190